

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

25

345307

Cena 20 kop.

Cena 20 kop.

Maurycy Maeterlinck

Joyzella

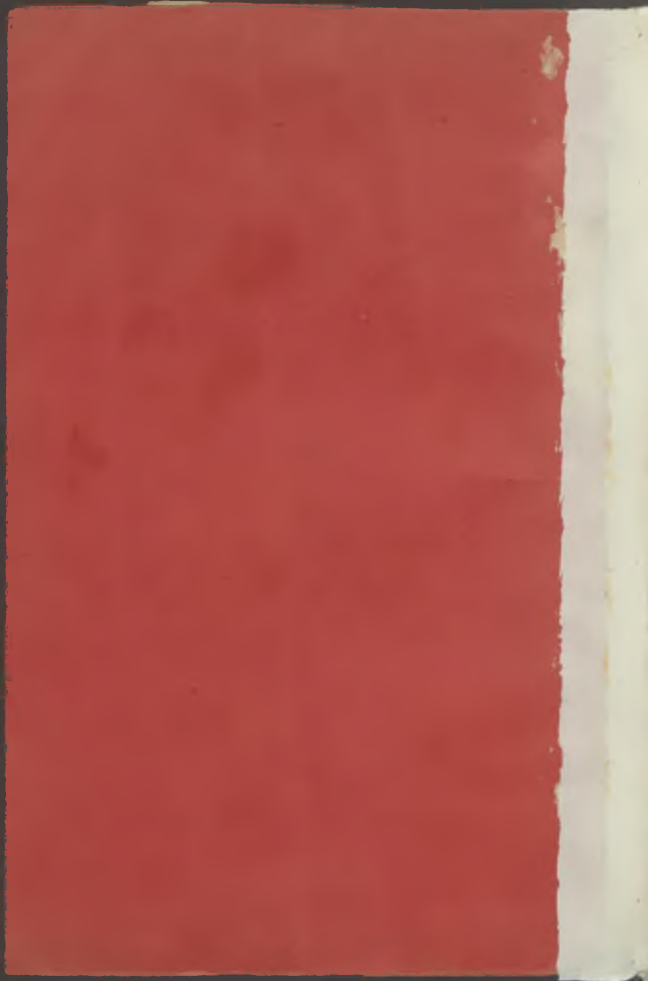
Sztuka w 5 aktach

przełożył

A. L.

Wydawnictwo **M. ARCTA** w Warszawie

w Gatieli 52 hal.



345307 mi obywateli
781553
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

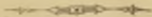
Maurycy Maeterlinck

Joyzella

Sztuka w 5-ciu aktach

przełożył

A. L.



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Января 1904 года

345307



K1140/63

OSOBY:

MERLIN.

LANCEOR, syn Merlina.

JOYZELLA (czyt. Żuazella).

ARYELLA, duch Merlina, niewidzialny dla innych osób.

Sprawa na wyspie Merlina.

Akt I.

Galerja w pałacu Merlina.

SCENA I.

MERLIN, ARYELLA.

(Merlin siedzi koto Aryelli, uśpionej na stopniach schodów marmurowych.—Noc).

MERLIN. Ty śpisz, Aryello, ty siło moja wewnętrzna, potęgo zapomniana, drze miąca w każdej duszy, a którą ja sam tylko jeden, jak dotąd, na ziemi—budzę do woli. Śpisz, moja młoda wróżko, uległa i pojętna—a twoje włosy rozwiane, jak błękitna para, niewidzialne ludziom, mieszają się z promieniami księ-

życa, z zapachami nocy, ze światłem gwiazd, z pękającymi różami — i przypominają nam, że wszystko się łączy ze sobą, że nic nie dzieli nas od wszystkiego, co istnieje — i że myśl nasza nie wie, gdzie się zaczyna światło, do którego dążym i gdzie się kończy ciemność, od której uchodzimy... Śpisz głęboko, a w czasie twego snu ja tracę wszystką swą wiedzę i staję się podobny swoim ślepym braciom, którzy dotąd jeszcze nie wiedzą, że na świecie tyłu jest bogów utajonych, ile serc uderza... Niestety, jam jest dla nich złym duchem, od którego należy uciekać; czarownikiem, który spiskuje z ich wrogami. Oni nie mają wrogów, mają tylko poddanych bez króla. Wierzą, że moja moc tajemna, która nakazuje posłuch roślinom, gwiazdom, wodzie, kamieniom, ogniovi — i której chwilami przyszłość ujawnia cząstkę swoich błyskawic; wierzą, że ta siła nowa, a przecież tak ludzka — ukrywa się w czarodziejskich napojach, w słowach zaklętych, w ziołach piekielnych, w znakach straszliwych... Nie, ta siła jest we mnie, jako i w nich... Ona jest w tobie, moja

krucha Aryello, która byłaś we mnie... Uczyniłem dwa—trzy śmielsze kroki naprzód w ciemności. Uczyniłem nieco wcześniej to, co oni zrobią jutro... Wszystko im będzie ulegało, gdy się w końcu nauczą ożywiać twoją dobrą wolę, jak ja ją ożywiłem... Ale napróżno mówiłbym im, że ty tutaj drzemiesz; napróżno bym pokazywał twój promienny wdzięk: nikt by cię nie zobaczył. Każdy musi cię odkryć sam w sobie... Każdy musi, jak ja, otworzyć grób swego życia—i obudzić cię, jak ja cię budzę...

(Przechyla się nad Aryellą i całuje ją w czoło).

ARYELLA. Mistrzu!

MERLIN. Oto czas, Aryello, w którym miłość czuwać musi. Nieraz w tych dniach—będę sen twój niepokoił.

ARYELLA. Sen mój był tak długi, że usypiam wciąż na nowo. Ale czuję się mocniejszą i szczęśliwszą za każdym przebudzeniem, jakie mi twoja myśl nakazuje...

MERLIN. Którędy prowadzisz mego syna i kiedy go zobaczę?

ARYELLA. Śledziłam go wzrokiem — w czujnem marzeniu. Zbliża się do nas. Sądzi się zabląkanym, a przeznaczenie wiedzie go tam, gdzie go czeka szczęście.

MERLIN. Czyliż mię rozpozna? Tyle minęło lat, jakich wymaga przepisana próba, abyśmy żyli obcy sobie, chętnie bym już go ucałował tak, jak wtedy, kiedy był małym dziecięciem.

ARYELLA. Nie, los musi wywikłać się swobodnie. — Miłość ojca, którego istnienie musi mu pozostać niewiadomem, niechaj nie fałszuje próby.

MERLIN. Ale odkąd Joyzella jest tu, w pobliżu nas; odkąd on idzie ku niej — czyli przyszłość się wyjaśnia? czyli tam czytasz nieco dalej w jutrze?

ARYELLA. Czytam to, com wyczytała w pierwszej chwili... Przeznaczenie twojego syna — całe jest wypisane w kole miłości. Jeżeli pokocha i jeżeli zostanie pokochany miłością cudowną, która zresztą powinna być udziałem wszystkich ludzi, ale która bywa tak rzadką na ziemi, że zdaje się obłędem; jeżeli więc pokocha i zostanie pokochany miłością szczerą i jasno-widzącą, miłością prostą i czy-

stą jak woda górską, a tak potężną jak ona; miłością bohaterską a słodsza od kwiatu; miłością, która wszystko bierze, a oddaje więcej niż bierze, która nigdy się nie waha, która nigdy się nie myli, której nic nie wytrąci z równowagi i nic nie zrazi: która słyszy i widzi jedynie szczęście tajemnicze, niewidzialne nikomu; która je dostrzega wszędzie, po przez wszystkie postaci i wszystkie próby i która z uśmiechem idzie naprzód, gotowa nawet do zbrodni... jeżeli zdobędzie taką miłość, która gdzieś istnieje, i czeka na niego w jakimś sercu, które sądzę, że poznałam:—to życie jego będzie dłuższe, piękniejsze i szczęśliwsze, niż życie innych ludzi... Ale, jeżeli nie znajdzie takiej wielkiej miłości, zanim ten miesiąc upłynie (gdyż koło się zamyka), jeżeli miłość Joyzelli nie jest tą wielką miłością, którą przyszłość z wyżyny niebios sunie ku niemu; jeżeli płomień nie sięgnie granic płomienia, jeżeli go zwątpienie zamroczy, albo żal zasłoni — w takim razie śmierć przeważy i syn twój jest zgubiony.

MERLIN. Ah, zapewne dla każdego

człowieka godzina miłości jest wielką godziną.

ARYELLA. Dla Lanceora, niestety, jest to godzina nieubłagana. Teraz wchodzi on na najwyższy szczyt życia... Po o-macku krąży między szczęściem a mogiłą... W całości zależy od ostatnich kroków, jakie robi i od ruchu dziewicy, która idzie na jego spotkanie...

MERLIN. A jeśli Joyzella nie jest tą, którą los mu wyznacza...

ARYELLA. Lękam się, czy próba, jaką zamierzamy zrobić, nie jest jedyną z prób możebnych... Lecz nigdy człowiek nie powinien tracić odwagi w obliczu przyszłości.

MERLIN. Czemuż robić próbę, skoro jest niepewna?

ARYELLA. Jeżeli my jej nie wykonamy, los ją wykona... Jest ona nieunikniona, ale oddana na pastwę przypadku... I dla tego staram się pokierować jej biegiem.

MERLIN. A jeżeli on pokocha Joyzellę, ona zaś kochać go nie będzie tak jak tego wymaga przeznaczenie?

ARYELLA. Wówczas będziemy musieli jawniej współdziałać sprawie.

MERLIN. Jakto?

ARYELLA. Postaram się o tem dowiedzieć.

MERLIN. Aryello, błagam cię, ponieważ idzie tu o istotę najdroższą, droższą mi nawet od samego siebie; ponieważ mam tylko jednego syna i ponieważ on może stać się tem, czem — jak wiesz—ja bym nie mógł już być, czy niepodobna wykonać niesłychanego wysiłku, rozpacznego niemal wysiłku w przyszłość, zgwałcić czas, wydrzeć latom—choćby te miały się za to pomścić na nas obojgu—tajemnicę, ukrytą tak surowo, a która mieści w sobie więcej, niż nasze własne życie i nasze własne szczęście.

ARYELLA. Nie, wysiłam się napróżno, dalej już nie sięgam... Przyszłość to świat, którego granicą jesteśmy my sami: odkrywamy w nim tylko to, co nas dotyczy, a czasami—przypadkowo—i to, co dotyczy najdroższych nam osób... Widzę jasno to, co się rozwija koło Lanceora, aż do chwili, gdy jego ścieżka krzyżuje się ze ścieżką Joyzelli. Ale dookoła Joyzelli lata są zasłonięte. Zasło-

na to świetna, zasłona promienna, ale kryje dni jutra równie głęboko, jak zasłona mroku... Życie się przerywa... A potem, poza zasłoną — stoi Śmierć i Szczęście, które czekają, jak dwoje gospodarzy niezmiennych, obojętnych, nieprzeniknionych... I nie mogę rzec, który jest bliższy i bardziej przeważający. Nie mogę przeniknąć, czy Joyzella jest właśnie tą przeznaczoną. Wszystko zapowiadać się zdaje, że to ona, lecz nic tego nie potwierdza. Oblicze jej, skierowane ku czasom, które nadchodzą; napróżno całą swoją moc przyzywam: nie odpowiada i nie odwraca się do mnie. Nic jej uwagi nie rozstroi — i nigdy nie widziałam rysów jej ducha, choć je przeczuwam. Jeden znak jest pewny: znak prób, wyraźnych i okrutnych, które będzie musiała przezwyciężyć. Po tych próbach ją poznamy.

MERLIN. Musimy zatem, począwszy od tego punktu, który mogę przestąpić, musimy poddać się nieznanym potęgom — i pytać wypadki tak, jak inni ludzie, czekać ich odpowiedzi — i starać się je

przełamać, gdyby chciały unieszczęśliwić naszych ukochanych...

ARYELLA. Ale spójrz, oto idą oni ku zorzy powstającej... Śpieszmy się, zbliżają się ku sobie... Przeznaczeniu ich, które już rozpoczyna swe dzieło, pozostawmy samotność i milczenie, jakich ono wymaga.

(*Merlin i Aryella wychodzą. W kilka chwil potem—gdy światło dzienne nagle się powiększa — wchodzi i spotykają się Joyzella i Lanceor*).

SCENA II.

JOYZELLA, LANCEOR.

JOYZELLA (*zdziwiona zatrzymuje się przed Lanceorem*). Czego szukasz?

LANCEOR. Nie wiem gdzie jestem. Szukam schronienia. Któż ty jesteś?

JOYZELLA. Nazywam się Joyzella.

LANCEOR. Joyzella... Powtarzam twe imię... Ono pieści jak poszmer skrzydeł, jak tchnienie kwiatu, jak oddech wesela, jak promień światła... Maluje ciebie całą, śpiewa w sercu, opromienia usta...

JOYZELLA. A ty kto jesteś?

LANCEOR. Już sam nie wiem, kto jestem... Przed paru dniami nazywałem się Lanceor; wiedziałem, gdzie jestem i znałem samego siebie. Dziś szukam siebie, wnikiem w siebie, dokoła siebie, ale wciąż błędzę we mgle wśród widziadeł...

JOYZELLA. Co za mgły? Co za widziadła? Od kiedy jesteś na tej wyspie?

LANCEOR. Od wczoraj.

JOYZELLA. To dziwne, nic mi o tem nie mówiono.

LANCEOR. Nikt mię nie widział. Zropaczony, błdziłem po wybrzeżu...

JOYZELLA. Ach, dla czego?

LANCEOR. Byłem daleko stąd, daleko od mego starego ojca, gdy nagłym listem zawiadomiono mię, że mój rodzic umiera... Wyjeżdżam natychmiast... Płyniemy długo. Potem, w pierwszej przystani, gdzie się okręt zatrzymuje — nowy list mi donosi, że już jest zapóźno, że ojciec mój już nie jest żyw. Płynę dalej, aby przynajmniej oczy mu zamknąć i spełnić jego ostatnią wolę...

JOYZELLA: Dlaczegoż ty więc tu jesteś?

LANCEOR. Dla czego, nie wiem,—i jak, nie wiem. Morze było tak jasne, niebo

tak czyste. Widać było tylko wodę drze-
miącą w lazurze. Naraz—bez żadnego
powodu — wielkie błękitne piany rozwi-
chrzyły fale. Wschodziły niby opary
mgliste, czepiając się rąk, masztów, twa-
rzy... Potem zahuczał wiatr, a ślepy
okręt, popychany strasznym wirem, zna-
lazł się wieczorem w nieznanej przysta-
ni tej nieoczekiwanej wyspy... Smutny
i zrozpaczony schodzę tu na wybrzeże;
usnąłem w grocie, zwróconej ku morzu,
a gdym się obudził, tumany opadły; —
spoglądam: okręt, jak białe skrzydło zni-
ka na widnokręgu fal!

JOYZELLA. Cóż się stało?

LANCEOR. Nie wiem... Chciałem płynąć
za nim, ale nie znalazłem łodzi w przy-
stani. Muszę więc czekać zjawienia się
innego okrętu.

JOYZELLA. To szczególne. To tak jak
ja...

LANCEOR. Jak ty?

JOYZELLA. Tak — i mnie tak samo gę-
sta mgła zaciągnęła na tę wyspę. — Ale
mój okręt się rozbił...

LANCEOR. Kiedy i jak? Skąd przyby-
wasz tu, Joyzello.

JOYZELLA. Przybywam tu z innej wyspy.

LANCEOR. Dokąd płynęłaś?

JOYZELLA. Tam, gdzie ktoś mnie oczekiwał.

LANCEOR. Kto?

JOYZELLA. Ten, który sądził, że mam być jego wybranką.

LANCEOR. Byłaś zaręczoną?

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. Kochasz go?

JOYZELLA. Nie.

LANCEOR. A więc?

JOYZELLA. Matka życzyła sobie.

LANCEOR. Chciałaś być jej posłuszną?

JOYZELLA. Nie.

LANCEOR. To dobrze. To mi się podoba. I mnie też ojciec mój w chwili śmierci nakazał wybrać tę, którą on wybrał... Miał, jak się zdaje swoje powody, bardzo poważne. A ponieważ on sobie życzył, a niema go już na ziemi, muszę mu być posłuszny.

JOYZELLA. Dla czego?

LANCEOR. Nie wolno się sprzeciwiać nakazom umarłych.

JOYZELLA. Dla czego?

LANCEOR. One są niezmiennie. Trzeba mieć litość, trzeba je szanować.

JOYZELLA. Nie.

LANCEOR. Tybyś nie słuchała?

JOYZELLA. Nie.

LANCEOR. Joyzello, to okropne!

JOYZELLA. Umarli są okropni, gdy wymagają, abyśmy kochali tych, których nie kochamy...

LANCEOR. Joyzello, ja się lękam ciebie.

JOYZELLA. Powiedziałam. Cożem powiedziała? Możem zbyt porywcza?

LANCEOR. Joyzello, oczy twoje się łzawią na wspomnienie umarłych—i kłamią twoim słowom.

JOYZELLA. Nie, to nie z tej przyczyny... Może byłam zbyt surowa... A jednak oni nie mają słuszności...

LANCEOR. Nie mówmy już o umarłych. Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się rozbił twój okręt.

JOYZELLA. Gęsta mgła nas obłąkała. Mgła tak gęsta, że zapelniała ręce, jakby białem pierzem. Sternik się omylił, zgubił drogę. Sądził, że widzi latarnię. Okręt uderzył o podwodne skały. Ale nikt nie zginął. Fale mnie uniosły; a po-

tem widziałam dokoła wodę błękitną, jakbym się zsuwała w głąb jakiegoś dusznego nieba... Zsuwałam się wciąż... Potem ktoś mię pochwycił za rękę i straciłam przytomność...

LANCEOR. Któż cię pochwycił?

JOYZELLA. Pan tej wyspy.

LANCEOR. Kto to jest ten pan?

JOYZELLA. Starzec jakiś, który błądzi jak cień niespokojny po tym marmurowym pałacu.

LANCEOR. O, gdybym tam był!

JOYZELLA. Cóżbyś uczynił?

LANCEOR. Uratowałbym cię.

JOYZELLA. Czyż nie jestem uratowana?

LANCEOR. To, co innego. Nie cierpiałybyś i nic by cię nie dotknęło. Poniósłbym cię po grzbiecie fal... Ach, nie wiem nie wiem, jakby to było!.. Niósłbym cię jak czarę pełną drogocennych pereł których żadnej cień nie powinien mu snać, jak cudny kwiat jutrzniany, w którym boimy się zakłuścić kroplę rosy. Gdy myślę o niebezpieczeństwach, na jakie byłaś narażona, ty tak piękna, tal wiotka, wśród wzburzonych fal i surowych

urwisk, w ramionach tego starca... To co uczynił jest piękne; uczynił rzecz niemożliwą... Ale to nie dość... Jakże narazie dosięgłaś brzegu?

JOYZELLA. Po przebudzeniu leżałam na piasku. Starzec był przy mnie. Potem kazał mię zanieść do palacu.

LANCEOR. Czy on jest królem tej wyspy?

JOYZELLA. Wyspa jest prawie bezludna—i nie widać na niej nikogo, prócz kilku sług, którzy błądzą w milczeniu. Za poddanych miałby on tylko drzewa, kwiaty i szczęśliwe ptaki, których ta wyspa zdaje się pełną...

LANCEOR. To, co uczynił jest dobre.

JOYZELLA. Jest on dobry i ludzki; przyjął mnie, jakby ojciec rodzony. A jednak ja go nie lubię...

LANCEOR. Dla czego?

JOYZELLA. Zdaje mi się, że on mnie kocha.

LANCEOR. Jakto? Czyżby śmiał? Nie, to niepodobna! albo wiek nie jest ciężarem, jakim być powinien, a rozum od nas uchodzi, gdy śmierć się zbliża.

JOYZELLA. A jednak ja się boję. Dał mi to do zrozumienia. Jest on osobliwy



i smutny. Podobno, daleko stąd ma syna, który może i zginął. Myśli o nim ciągle. Gdy przypuszcza, że go zobaczy, twarz jego się rozjaśnia... on... oto on...
(*Wchodzi Merlin*).

SCENA III

LANCEOR, JOYZELLA, MERLIN.

MERLIN. Szukałem cię, Joyzello! (*zwraca się do Lanceora i patrzy nań groźnie*). Co do ciebie, to wiem, kto jesteś— i znam powody, co cię sprowadziły na tę wyspę; znam też fortel rzekomego rozbicia—i wiem, jaki wróg, cię tu przysłał.

LANCEOR. Mnie? Ależ na te brzegi rzucił mię przypadek...

MERLIN. Nie wymawiajmy słów bezużytecznych.

JOYZELLA. Cóż on zrobił?

MERLIN. Chciał, niestety, zrobić to, co człowiek uczynić może najnędzniejszego; zdradzić dobroć, okłamać przyjaźń i wrogom sprzedać gospodarza zbyt szlachetnego, który go miał przytulić.

JOYZELLA. Nie.

MERLIN. Dla czego: nie? Czy ty go znasz?

JOYZELLA. Tak.

MERLIN. Od kiedy?

JOYZELLA. Odkąd go ujrzałam.

MERLIN. A dawność go ujrzała?

JOYZELLA. Od chwili, gdy wszedł do tej sali.

MERLIN. To zbyt mało.

JOYZELLA. To wystarcza.

MERLIN. Nie, Joyzello — i wnet ci wypadki dowiodą, że to nie dosyć i że otwarte wejrzenie, uśmiech niewinny, łagodne słowa — kryją nieraz zasadzkę niebezpieczniejszą — niż siwy włos niewdzięcznej starości, albo uczucie bez nadziei.

JOYZELLA. Cóż zamierzasz uczynić?

MERLIN. Czekam pewności ostatecznej, a wtedy uczynię to, co prawowite i konieczne, aby już się nie lękać wroga, co gotów się nie cofnąć przed niczem. Nielitościwe środki, jakie przedsięwzię, tyleż są ważne dla twego bezpieczeństwa co i dla mojego. Bo ta sama kabała nas otacza, a los wiąże nas... Nie mogę dziś

mówić ci więcej. Ufaj mi. Może już wiesz, że twoje szczęście jest mojem.

JOYZELLA. Uratowałeś mi życie — pamiętam o tem.

MERLIN. Wspominasz o tem bez życzliwości, ale sądzę, że mi kiedyś oddasz sprawiedliwość. (*Do Lanceora*). A ty idź. Wieść, którą otrzymałem, jest niewątpliwa. Gdy wypadki, których się lękam, wieść tę potwierdzą, zacznę działać. Tymczasem jesteś moim więźniem. Wskażę ci miejsce, zachowane dla ciebie w pałacu. Gdybyś przestąpił zakreśloną granicę, sam siebie będziesz zmuszony sądzić i sam na siebie wydasz wyrok. Będzie on niecofniony. Idź, oto moje rozkazy.

LANCEOR. Jestem posłuszny, ale w nadziei, że uznasz swój błąd. Do widzenia, Joyzello.

MERLIN. Nie, powiedz jej: «żegnam», bo wątpię, czy się kiedykolwiek zobaczycie. Tymczasem, Joyzello, może cię kiedy przypadek postawi wobec tego człowieka.—Tedy mówię ci, uchodź: życie twoje i jego zależą ściśle od twojej rychłej ucieczki. Gdy się dowiem, żeście się wi-

dzieli, jesteście nieodwołalnie zgubieni. (*Do Lanceora*). Czy mi obiecujesz, że będziesz jej unikał?

LANCEOR. Jeżeli idzie o jej życie, tak!

MERLIN. A ty, Joyzello?

JOYZELLA. Nie!

Akt II.

*Ogród dziki, opuszczony, pełen cier-
ni i traw jadowitych. Na prawo wiel-
ka ponura ściana z rozwartą bramą.*

SCENA I.

JOYZELLA, potem LANCEOR.

JOYZELLA (*wchodząc*). Jest to ogród nieodwiedzany przez nikogo. Słońce tu nie dochodzi, biedne dzikie kwiaty, które niszczy się przeto, że nie są piękne — oczekują tu rychłej śmierci, a ptaki milczą... Oto fijołek pozbawiony już zapachu, złoty jaskier, drżący i smutny! i mak, którego płatki wciąż opadają... Oto skabjoza spragniona troszki wody, jadowity ostromlec co ukrywa swe ziolo-

ne liście, dzwonek błękitny, co porusza milcząco swe kwiaty bezużyteczne. Poznają was wszystkie, pokorne i wzgardzone, tak dobre i tak brzydkie... Mogłybyście być piękne; mało co brak do tego: promienia szczęścia, chwili łaski, uśmiechu nieco śmielszego, aby tu ściągnąć pszczoły... Ale żadne was oko nie widzi, żadna ręka was nie zrywa... Jakże tu wszystko zmartwiało! Trawa opuszczona i sucha, liście chore, stare drzewa zamierają, a wiosna sama i zorza poranna lękają się zarazić żalością tej samotni.

(Lanceor ukazuje się po za drzwiami...)

LANCEOR. Joyzello!

JOYZELLA *(odwraca się nagle)*. Lanceorze!

LANCEOR. Joyzello!

JOYZELLA. Uchodź, uchodź! Strzeż się! Gdyby cię ujrzał, zginąłeś.

LANCEOR. Nie zobaczy nas. Jest daleko stąd.

JOYZELLA. Gdzie?

LANCEOR. Widziałem go, wychodził. Śledziłem jego odejście z wyżyny tej wieży, gdzie siedzę zamknięty jako wię-

zięń. Jest na krańcu wyspy koło sinego lasu, który zamyka widnokrąg.

JOYZELLA. Ale może powrócić, albo mu ktoś o tem powie. Uchodź, uchodź— mówię tobie. Idzie o twoje życie.

LANCEOR. Pałac jest pusty. Przebiegłem sale, ogrody, podwórce, długie szeregi bukszpanów, schody marmurowe.

JOYZELLA. Uchodź... To tylko zasadka... Sprzysiągł się na twoje życie. Wiem o tem, powiedział mi... Podejrzewa, że cię kocham. Szuka tylko pozoru, aby wykonać swój zamiar. Uchodź... To już za wiele...

LANCEOR. Nie.

JOYZELLA. Jeżeli ty nie chcesz, to ja odejdę.

LANCEOR. Jeżeli odejdiesz, Joyzello, to ja pozostanę tu przy bramie, póki go noc nie sprowadzi do domu... Znajdzie mnie tu na zakazanym progu.. Przestąpiłem granicę mi wyznaczoną, a więc byłem nieposłuszny; i chcę, aby to widział i chcę, aby to wiedział...

JOYZELLA. Lanceorze, miej litość! Błagam cię, Lanceorze! Całe nasze szczęście kładziesz na szalę przypadku. Myśl tylko

o sobie. Pójdę, dokąd zechcesz, abyś tylko opuścił tę kratę. Zobaczymy się gdzieindziej, później, innego dnia... Potrzeba nam czasu, potrzeba ostrożności, przygotowań... Patrz, ręce wyciągam do ciebie... A mów, co mam uczynić. Co mam ci obiecać?

LANCEOR. Otwórz furkę.

JOYZELLA. Nie, nie, nie mogę!

LANCEOR. Otwórz, otwórz, Joyzello, jeżeli chcesz, bym żył.

JOYZELLA. Dla czego chcesz, bym otworzyła?

LANCEOR. Chcę cię widzieć zblizka, chcę dotknąć twoich rąk, których nie dotknąłem, patrzeć na ciebie jeszcze, jakem patrzył wtedy pierwszego dnia... Otwórz albo się zgubię sam... Nie odejdę...

JOYZELLA. Czy odejdiesz, skoro...

LANCEOR. Zapowiadam ci, Joyzello... skoro tylko otworzysz, zanimby jaskółka, zanimby myśl miała czas dolecieć z miejsca, gdzie on jest, zanimby ta myśl zapragnęła ująć mą rękę, która dotknie twojej... Błagam cię, Joyzello, to zbyt okrutne... Stoję u tej furty, jak ślepy że-

brak... Widzę jeno twój cień poprzez liście. Te kraty są ohydne, bo mi twoją twarz zakrywają... Jedno spojrzenie, Joyzello, bym cię ujrzał całą, a potem odejdę jak złodziej z wielkim skarbem, co strumieniami leje się po za nim. Nikt nie będzie wiedział — i będziemy szczęśliwi.

JOYZELLA. Lanceorze, to straszne. Nie drżałam nigdy, ale dziś drzę. Może ja drzę o życie—i może już nie o swoje własne. Cóż to za światło, co nagle zabłysło? Ono zdradza nas...

LANCEOR. Ależ nie, to słońce wschodzące poza murem. To niewinne słońce, dobre słońce majowe, ono schodzi do nas, by rozweselić nas... Otwórz więc, otwórz szybko, każda chwila mijająca dodaje niebezpieczeństwa do niebezpieczeństw, których się lękasz... Jeden ruch, Joyzello, jeden rzut twojej ręki, a otwierasz mi naprawdę wrota życia!

(Joyzella obraca klucz; furta się otwiera; Lanceor przestępuje próg).

LANCEOR *(chwytając Joyzellę w ramiona)*. Joyzello!

JOYZELLA. Oto jestem.

LANCEOR. Oto mam twoje ręce i oczy, twoje włosy i usta w tym samym pocałunku i w tej samej chwili, wszystkie dary miłości, których nigdy nie miałem i całą jej obecność... Ramiona moje są tak zdumione, że nie mogą unieść tych skarbów, a moje życie całe ich nie ogarnie. Nie odsuwaj czoła, nie oddalaj ust, Joyzello!

JOYZELLA. Czynię to, nie by uciec od ciebie, lecz by się lepiej przybliżyć.

LANCEOR. Nie odwracaj głowy; nie wydieraj mi cienia twych rzęs, światła twych oczu; nie godziny, minuta każda grozi temu szczęściu.

JOYZELLA. Szukałam twego uśmiechu...

LANCEOR. A twój uśmiech go spotyka w pierwszym pocałunku, który łączy nasze usta, aby złączyć nasze przeznaczenia... Zdaje mi się dzisiaj, że cię zawsze widział i że cię zawsze całował... i że wykonywam w rzeczywistości u progu raju to, com czynił na ziemi, gdy cię obejmowałam...

JOYZELLA. Całowałam cię w nocy, gdy cię całowała swe marzenia.

LANCEOR. Nie miałem zwątpień...

JOYZELLA. Nie znałam trwogi...

LANCEOR. I wszystko mi jest dane.

JOYZELLA. I wszystko mnie uszczęśliwia.

LANCEOR. Jak twe oczy są głębokie i pełne ufności!

JOYZELLA. A twoje oczy jak czyste i pełne pewności!

LANCEOR. Jakże rozpoznaję te oczy!

JOYZELLA. Jakże je odnajduję!

LANCEOR. Twoje ręce na mych ramionach mają ten właśnie ruch, jaki miały, gdy czekał na nie, nie śmiejąc się obudzić.

JOYZELLA. A twoje ramię na mej szyi dawne swe miejsce znów zabiera.

LANCEOR. Tak właśnie niegdyś źrenice twoje zamykały się na tchnienie miłości.

JOYZELLA. Tak właśnie lzy ci błyskały w oczach, gdyś je otwierał.

LANCEOR. Gdy szczęście jest tak wielkie...

JOYZELLA. Nieszczęście nie przychodzi, póki go miłość trzyma na uwięzi.

LANCEOR. Kochasz mnie?

JOYZELLA. Kocham!

LANCEOR. O, jakieś ty mi powiedziała:

kocham! Do samej głębi mego serca, do samej głębi mych myśli, do samej głębi mej duszy... Może ja o tem wiedziałem, ale trzeba to było powiedzieć... I same nasze pocałunki niczem były bez tego słowa. Teraz, dość. To słowo żywić będzie moje życie. Wszystko nienawiść świata nie byłaby w stanie go zmazać, a trzydzieści lat nieszczęść nie mogłoby go wyczerpać... W światłości jestem, a wiosna mnie przytłacza. Spoglądam na niebo, a ogród się budzi... Słyszysz ptaki, od których śpiewu rozdzwoniły się drzewa i powtarzają twój uśmiech i twe czarodziejskie: kocham... I patrz, jak złote promienie słońca pieczą tve włosy, niby djamenty igrające wśród płomieni, a tysiące kwiatów chyli się ku nam, by w naszych oczach schwycić na gorącym uczynku tajemnicę miłości, której nie znały.

JOYZELLA (*otwierając oczy*). Ach, były tu tylko biedne kwiatki półumarłe...

(*Patrzy dokoła siebie zdumiona; gdyż od chwili wejścia Lanceora, choć nie baczylu na to, ponury ogród powoli a magicznie się przemienił. Dzikie rośliny,*

nikczemne ziota, co zatrwały jego powietrze, urosły ogromnie, i każda, podług swego rodzaju, rozwinęła cudownie swoje kwiaty wybijające. Lichy powój stał się potężnym ljanem, którego przedziwne kielichy girlandami otoczyły drzewa, zginając się pod ciężarem tyśiąca dojrzałych owoców i zaludnione gromadą cudnych ptaków. Biała mokrzyca jest teraz wielkim krzakiem gorąco i łagodnie zielonej barwy, a na nim błyszczą kwiaty większe niż lilje. Błada skabjoza wydłużyła swe łodygi, na których rozrosły się kity podobne teraz do słoneczników ślazowych. Motyle krążą po powietrzu, pszczoły brzęczą, ptaki śpiewają, owoce kołyszają się i opadają, światło rozlewa się dokoła. Perspektywa ogrodu rozszerzyła się w nieskończoność: i widać na prawo cysternę marmurową, na pół ukrytą po za żywoptotem różowych laurów i heljotropów, wyciętych w arkady).

LANCEOR. Już tu są jeno kwiaty życia. Patrz!... One schodzą ku nam, rozsypują się koło nas. Błyszczą na gałęziach, zginają drzewa, płaczą nasze kro-

ki, cisną się nawzajem, duszą się, pękają w całym ogromie jedne w drugich, zasłaniają liście, rozłsniewają trawę... Nie znam żadnego z tych kwiatów, a wiosna jest w upojeniu... Nigdy nie widział roślinności tak bezładnej, tak świetnie rozbującej...

JOYZELLA. Gdzież jesteście?

LANCEOR. Jesteśmy w grodzie, którego nie chciałaś otworzyć memu szczęściu.

JOYZELLA. Cóżemy uczynili?

LANCEOR. Dałem pocałunek, który się daje raz tylko jeden w życiu... A ty wyrzekłaś słowo, którego się nigdy nie powtarza.

JOYZELLA (*omdlewając*). Lanceorze, jestem szalona albo umrzemy oboje.

LANCEOR (*podtrzymując ją*). Joyzello, ty bledniesz, a twoje drogie ramiona cisną mnie, jakbyś była w trwodze, że ukryty wróg...

JOYZELLA. Więc tyś nie widział?

LANCEOR. Co?

• JOYZELLA. Jesteśmy w zasadzce, a te kwiaty nas zdradziły. Ptaki milczały, drzewa były martwe, były tu jedynie złe zioła, których nikt nie zrywał. Poznaje

je wszystkie, wiem ich imiona, przypomina mi się jeszcze ich dawna nędza... Oto jaskier upadający pod ciężarem złoty-
ch kręgów, oto biedna mokrzyca zmieni-
niona w olbrzymi krzak lilji, wielkie ska-
bjozy, które ocieniają nas swemi liśćmi,
a te purpurowe dzwony, co po nad mur
się wznoszą, aby całemu światu zdradzić,
żeśmy się widzieli, to naparstnica, która
biednie rosła w cieniu. Rzekłbyś, niebo
rozsypało kwiaty. Nie patrz na nie: one
tu są dla naszej zguby. Ah, teraz zapó-
żno rozważam, a powinnam była rozu-
mieć... Szeptał niewyraźne groźby... Tak,
tak, wiedziałam że on ma uroki. Mówio-
no mi o tem, alem nie wierzyła. Teraz
nadeszła jego godzina. Dobrze! Zapóźno,
ale zobaczymy, że miłość umie też...

(Słychać odgłos rogu).

LANCEOR. Słuchaj.

JOYZELLA. To tentent koni i róg straź-
niczy. On powraca. Uchodź!

LANCEOR. Ale ty?

JOYZELLA. Ależ ja się nie lękam nicze-
go, oprócz jego ohydnej miłości. Uchodź!

LANCEOR. Zostanę przy tobie, a gdyby
jego przemoc...

JOYZELLA. Zgubisz nas oboje. Uchodź! Ukryj się tam za ostromlecze. Cokolwiek on powie, cokolwiek uczyni — nie zdradzaj się. Nie lękaj się o mnie, ja się potrafię obronić. Uchodź. On już idzie. Uchodź. Słyszę jego głos.

(Lanceor się ukrywa po za gęstwiną wysokich ostromleczów. Furta się otwiera i Merlin wchodzi do ogrodu).

SCENA II

MERLIN, JOYZELLA, LANCEOR ukryty.

MERLIN. On tu jest, Joyzello,

JOYZELLA. Niema go.

MERLIN. Te kwiaty nie kłamią; one zdradzają miłość. Były one przy was na straży i zachowały mi wierność. Nie jestem okrutny i przebaczam nieraz. Możesz go uratować, pokazując krzak, w którym się ukrył. *(Joyzella nieruchoma)*. Nie patrz na mnie tem pełnem nienawiści okiem. Pokochasz mię kiedyś, bo drogi miłości są ciemne i szlachetne... Czy nie wierzysz, że dopełnię swych przyrzeczeń?

JOYZELLA. Nie wierzę.

MERLIN. Nie uczyniłem nic, coby zasługiwało na taką nienawiść i podobną obelgę. Ponieważ tego pragniesz, los niechaj za mnie działa.

(Słysząc krzyk bolesny po za krzakiem ostromlecza).

JOYZELLA *(rzuca się po za krzewy)*. Lanceorze!

LANCEOR. Joyzello! Jestem raniony! Wąż mnie ukąsił.

JOYZELLA. To nie wąż... to zwierz przerażający... Pełźnie ku tobie... Depcę go nogą... rzeże... zdycha... Lanceorze, ty bledniesz. Oprzyj się na mej piersi... Nie lękaj się niczego, jestem silna... Pokaż mi swą ranę... Lanceorze, jestem tutaj... Lanceorze, odpowiedz!

MERLIN *(zbliża się i ogląda ranę)*. Rana jest śmiertelna... Trucizna to powolna, a działanie jej dziwne... Nie rozpaczaj... Ja jeden tylko znam lekarstwo.

JOYZELLA. Lanceorze, Lanceorze! odpowiedz mi, odpowiedz!

MERLIN. Nie odpowie nic, śpi głęboko. Usuń się, Joyzello, jeżeli nie chcesz, aby ten prosty sen nie zakończył się śmiercią.

Usuń się, Joyzello, nie zdradzasz go w ten sposób, tylko śmierć usuwasz.

JOYZELLA. Uczynź przedtem znak, co mu wróci życie.

MERLIN (*patrząc na nią poważnie*).
Uczynię to, Joyzello.

(*Joyzella wychodzi powoli, odwraca się i wreszcie znika na surowy i rozkazujący gest Merlina. Pozostawszy sam, Merlin klęka przed Lanceorem i przewiązuje mu ranę*).

MERLIN. Nie lękaj się, mój synu. Dla twego szczęścia czynię to wszystko — i niechaj moje serce się otworzy w pierwszym pocałunku, jaki ci dać mogę.

(*Długi pocałunek. Aryella wchodzi*).

SCENA III

MERLIN, LANCEOR, ARYELLA.

ARYELLA. Mistrzu, należy się śpieszyć, nową gotować zasadzkę.

MERLIN. Myślisz, że w nią wpadnie?

ARYELLA. Człowiek zawsze w nią wpada, gdy instynkt go prowadzi; ale zasłońmy mu rozum, zmieńmy jego chara-

rakter; będziemy mieli widok, co śmiech wywoła.

MERLIN. Ja się nie uśmiechnę, bo to widok smutny — i nie lubię patrzeć, gdy piękna i szlachetna miłość, miłość, która się uważa za wyrocznię jedyną—pryska za pierwszą próbą, w ramionach widma.

ARYELLA. Lanceor nie jest wolny, bo nie jest już sobą samym — i od godziny oddaję go na pastwę instynktu...

MERLIN. Powinienby go zwyciężyć.

ARYELLA. Mówisz tak, bo ja ci jestem uległą; ale przypomnij sobie te czasy, kiedy byłam mniej posłuszną.

MERLIN. Sądzisz się uległą, bo ja cię zwyciężyłem; ale nawet w światłości, w której cię potrafiłem wychować, pozostaje w tobie wiele cienia i spostrzegam w tobie coś okrutnego, co nazbyt urąga słabościom ludzkim.

ARYELLA. Słabości ludzkie często są konieczne do przeznaczeń życiowych.

MERLIN. Cóż się stanie, jeżeli on ulegnie pokusie?

ARYELLA. Ulegnie, to zapisane... Idzie o to, czy miłość Joyzelli przeważy tę próbę.

MERLIN. A ty o tem nie wiesz?

ARYELLA. Nie wiem. Dusza jej nie całkiem się mieści w mojem kole; zależy ona od pierwiastku, którego nie znam, który widzę tylko w niej, a który zmienia przyszłość... Staralam się ją poddać swej władzy; ale ona słucha mię tylko w drobiazgach. Jednakże czas działać.— Idź, poszukaj Joyzelli, a mnie pozostaw syna. Idź, aby próba nie była chybiona. Ożywię go, odnowię i pogłębię, i bardziej jeszcze zaślepię upojenie, w którym go pograżyłam, i stanę się widzialną jego oczom, aby okłamać jego pocałunki.

MERLIN (*z uśmiechniętym wyrzutem*).
Aryello!

ARYELLA. Idź, pozwól mi działać!... Ty wiesz, że pocałunki, które się daje biednej Aryelli są jak muśnienie skrzydła, co się zamyka nad wartką wodą...

(*Merlin odchodzi. Aryella idzie do marmurowej cysterny, tam pół ukryta za gąszczem laurów, zwija skrzydła, które ją osłaniają, siada na stopniach darniowych koło cysterny i powoli rozpłaszcza swe długie włosy. Tymczasowo Lanceor budzi się zwolna—poomacku*).

LANCEOR. Gdzież to ja usnąłem? Nie wiem, co za trucizna weszła w moje serce. Już nie jestem ten sam, a rozum mój się obłąkał... Walczę przeciw upojeniu i nie wiem dokąd idę. (*Ujrzawszy Aryellę*). Ale cóż to za kobieta—tam—po za gąszczą wawrzynów... (*Zbliża się i spogląda*). Jest piękna... Jest półnaga, a nóżka jej zgięta niby kwiat przezorny, zlekka pluszcze się w wodzie, co się uśmiecha, okrążając ją pianką pereł... podnosi ramiona, aby związać włosy; światłość niebieska jaśnieje u jej ramion, jak woda promienista na skrzydłach z marmuru (*Zbliża się jeszcze*). Ona jest piękna! Muszę ją zobaczyć... Oto się odwraca, a jedna z jej nagich piersi — poprzez włosy — dodaje promienie do promieni, co ją ozłociły... Nasłuchuje, słyszy... jej oczy się rozszerzyły, rozmawiają z kwiatami. Spostrzegła mnie, kryje się, chce uciekać (*Przeskakując przez gąszcz*). Nie, nie, nie uciekaj odemnie.. Widziałem cię... Zapóźno... (*Porywa Aryellę w ramiona*). Chcę znać imię tego czystego zjawienia, które w noc pograża wszystko, com kochał... Chcę wiedzieć też, jaki

cień zbyt zazdrosny, jaka kryjówka zbyt głęboka—tała cudo, które mam w objęciu... Jakie drzewa, jakie groty, jakie wieże, jakie mury mogły dusić promienistość tego ciała, zapach tego życia, płomień tych oczu... Gdzie się kryłaś ty, którą nawet ślepiec by odkrył bez trudu — w ogromnym świętującym tłumie... Nie, nie wydzieraj się! To nie namiętność, upojenie chwili; to wieczno trwałe olśnienie miłości... Klęczę u twoich nóg, całuję je pokornie... Tobie jednej się oddaję... Twój jestem jedynie, twój! O nic cię nie błagam, tylko o jeden pocałunek twych ust, aby zapomnieć o wszystkim i zapieczętować przyszłość... Nakłoń swą głowę... Oto głowa się chyli, zgadza się na me błagania i przywołuje znak, którego nic już nie zmaże (*całuje ją gorąco. Słychać okrzyk rozpaczyny po za gąszczą*).— Co to?

(*Aryella, którą trzymał w objęciach, uchodzi i znika.— Wchodzi Joyzella*).

SCENA IV

LANCEOR, JOYZELLA.

JOYZELLA (*wstrząśniona*). Lanceorze!

LANCEOR. Skąd-że przychodzisz, Joyzello?

JOYZELLA. Widziałam i słyszałam.

LANCEOR. A więc cóż z tego? Cożeś widziała? Spójrz do koła siebie, nic tu nie widać. Laury kwitną, woda w cysternie drzemie, gołębie gruchają, nenufary się otwierają. Oto wszystko, co ja widzę i wszystko, co ty możesz widzieć.

JOYZELLA. Czy ty ją kochasz?

LANCEOR. Kogo?

JOYZELLA. Tę, co właśnie stąd uciekła.

LANCEOR. Jakże mógłbym ją kochać? Nigdy jej nie widziałem. Ta kobieta była tutaj, przechodziłem przypadkiem... Wydaje okrzyk. Nadbiegam. Zdawało się, że mdleje — i w chwili, gdym wyciągał do niej rękę, daje mi pocałunek, który słyszałaś.

JOYZELLA. Czy to ty przemawiasz? ty?

LANCEOR. Tak, spójrz na mnie: ja to właśnie. Zbliź się, dotknij, jeżeli wątpisz.

JOYZELLA. Próba była okropna... Ale to jest śmiertelne...

LANCEOR. Co?

JOYZELLA. Czy po raz pierwszy widziałeś tę kobietę?

LANCEOR. Poraz pierwszy.

JOYZELLA. Nie będę już o tem mówiła. Może zrozumiem. W każdym razie przebaczam!

LANCEOR. Nie masz nic do przebaczenia.

JOYZELLA. Co ty mówisz?

LANCEOR. Mówię, że niepotrzebne jest przebaczenie, którem mnie przygnębiasz, za błąd, którego nie popełniłem.

JOYZELLA. Którego nie popełniłeś? Więc ja nie widziałam tego, com widziała, nie słyszałam tego, com słyszała?...

LANCEOR. Nie widziałaś, nie słyszałaś!

JOYZELLA. Lanceorze...

LANCEOR. Lanceorze, Lanceorze!.. Gdybyś tak wołała na mnie przez tysiąc lat, nic nie zmieni się tam, gdzie nie było nic...

JOYZELLA. Nie wiem, co się dzieje ze szczęściem nas obojga... Ale patrz na mnie i dotknij moich rąk, abym wiedzia-

ła gdzie jesteś... Przecie jeżeli ty tak mówisz, to nie ciebie ja widziałam w cudownym ogrodzie, gdzie swoją duszę oddała. Nie, jest coś, co igra z mocą naszą. Nie, to niepodobna, aby wszystko tak przepadło przez jedno słowo. Szukam, błądzę. Widziałam wówczas ciebie i całą prawdę, całą wiarę, jak widzi się nieraz morze pomiędzy drzewami!... Byłam pewna, wiedziałam... Miłość nie kłamała; teraz ona kłamie. Nie może być, aby wszystko miało runąć przez tak lub nie. Nie, nie, ja nie chcę! Pójdź, jeszcze nie zapóźno; jeszcześmy nie utracili szczęścia. Jest ono w naszych rękach, które odpychają los. To coś uczynił, jest może szaleństwem. Zapomniałam o tem, drwię z tego, nic nie widziałam: mówię ci... To nie istnieje: jednym słowem zacierasz to, co było. Wiesz równie dobrze, jak i ja, że miłość ma słowa, którym nic się nie opiera; i że największy błąd, wyznany w prawym pocałunku, staje się prawdą piękniejszą, niż niewinność... Powiedz mi to słowo, daj ten pocałunek! wyznaj prawdę, tę prawdę, którą widziałam, którą słyszałam, a wszy-

stko nanowo będzie tak czyste jak było przedtem — i powtórnie odnajdę wszystko, coś mi dał.

LANCEOR. Powiedziałem, com powiedział; jeżeli mi nie wierzysz, odejdz, przeszkadzasz mi...

JOYZELLA. Spójrz na mnie... Ty ją kochasz, ponieważ tak kłamiesz.

LANCEOR. Nie, nie kocham nikogo, a ciebie mniej niż kogokolwiek.

JOYZELLA. Lanceorze, cóżem ja zrobiła? Może bezwiednie.

LANCEOR. Nic, to nie to... Ale ja nie jestem ten, którym wierzyłaś, że jestem i nie chcę nim być... Jestem podobny do wszystkich: chcę, abyś o tem wiedziała i abyś się pocieszyła... i niechaj wszystkie moje przysięgi rozwieją się na wietrze nowego marzenia tak, jak ja rozdzieram ten zeschnięty liść w mej dłoni. Ah, miłość kobiety! Tem gorzej dla nich. Życ będę jak inni w świecie bez wiary, gdzie się nikt nie kocha i gdzie wszystkie przysięgi ustępują przed pierwszą próbą... Ah, ty płaczesz... Tak, to było potrzebne, czekałem na to... Ty jesteś twarda, ja to wiem—i łzy twoje są rzad-

kie... Liczę je kropla po kropli.—Tyś mnie nie kochała. Miłość, co tak się zjawia, na pierwsze zawołanie, nie jest tą miłością, na której można trwale szczęście zbudować... W każdym razie nie jest ona tą, której oczekiwałem. A potem jeszcze łzy... zbyt późno popłynęły. Tyś mię nie kochała, i ja cię nie kochałem. Inna by mi powiedziała... Inna by odgadła... Ale ty nie, nie, idź — idź-że sobie, powiadam!

(Joyzella oddala się w milczeniu, łkając. Zrobiwszy kilka kroków, odwraca się, waha, smutnie patrzy na Lanceora i znika, wołając cichym głosem:

— Kocham ciebie!

Lanceor zgnębiony, błędny, chwiejnie idzie oprzeć się o pień drzewa).

LANCEOR. Cóżem uczynił?... Jestem posłuszny. Czemu posłuszny? Nie wiem. Com powiedział? To nie ja mówię... utraciłem szczęście, terażniejszość, przyszłość... Nie należę do siebie. Robię to, co mi jest nienawistne. Nie wiem, kim jestem. Joyzello, ach, moja Joyzello!

(Upada we łzach twarzą do ziemi).

Akt III.

Pokój w pałacu.

SCENA I.

LANCEOR, potem JOYZELLA.

(Ukazuje się Lanceor wychudły, zgarbiony, postarzały, niepoznawalny).

LANCEOR *(przed zwierciadłem)*. Kto ja jestem? W ciągu paru godzin postarzałem o lat trzydzieści. Trucizna robi swoje i ból podobnie... Z przerażeniem patrzę w zwierciadło, w którym widzę resztki samego siebie... A jednak ono nie kłamie. *(Idzie do innego lustra)*. Bo oto drugie zwierciadło, które mówi mi to samo. Chyba, że wszystkie kłamią, jak wszystko mi się zdaje kłamać i igrać ze mną na tej nadzwyczajnej wyspie. *(Dotyka się twarzy)*.

Niestety, one mają słuszność. Zmarszczki, które śledzi moja dłoń, nie są wytworem złośliwości kryształu. To moje własne ciało. A te plamy okropne, których zetrzeć nie można, czuję w dotknięciu palców... Ramiona się przygarbiły —

i nie wznoszą się prosto do góry; włosy przygasły jak blady popiół, który opuściły płomienie; nawet oczy, moje oczy ledwie same się rozpoznają... Otwierały się, uśmiechały, pozdrawiały życie... Teraz migotają, a ich spojrzenia unikają mnie jak spojrzenia łotra... Nic mi nie pozostało z tego, czem byłem; rodzona matka by mnie nie poznała... Dostyc tego (*spuszczając zastonę wysokiego okna*). Ukryjmy się — i niechaj noc czarna osłoni to wszystko (*kładzie się na sofie, w ciemnym kącie pokoju*). Zrzekam się wszystkiego, przystaję... Uczynilem, czego nigdy miłość przebaczyć nie może... Tracę życie, jak utraciłem Joyzellę. Już ona mnie nie zobaczy, ani ja nie zobaczę jej więcej.

(Drzwi się otwierają, wchodzi Joyzella.

JOYZELLA (*zdziwiona mrokiem, przez chwilę zatrzymuje się na progu. Poczem rzuciwszy okiem dokoła izby, spostrzega Lanceora, leżącego w kącie i rzuca się ku niemu z otwartymi ramionami*).

— Lanceorze! Te trzy dni ubiegłe prze-

żyłam jak obłąkana. Szukałam cię wszędzie. Stałam koło wieży. Brama była zamknięta, okna również. Pełzałam na progu, aby uchwycić twój cień, wołałam, krzyczałam, nikt mi nie odpowiadał... Ach, jakże ty jesteś blady, wychudły... Mówię ci słowa, a nie myślę... Daj mi swe ręce...

LANCEOR. Czy ty mnie poznajesz?

JOYZELLA. Dlaczego nie?

LANCEOR. Ale czyż ja jestem? Czy jestem jeszcze sobą samym? O, spojrzij na mnie... Jakie ślady ze mnie pozostały!.. (*Idzie do okna i gwałtownie podnosi zastonę*). Ale patrz na mnie, patrz! Gdzie ty mnie poznajesz? Mów mi, czy to tu? Czy to moje ręce, moje oczy, moje ubranie może?

JOYZELLA (*patrząc nań, we łzach rzuca mu się w ramiona*). O, jakże ty cierpiałeś!

LANCEOR. Cierpiałem, cierpiałem! Zasłużyłem na to po wszystkim, com powiedział, po wszystkim, com uczynił. Ale nie o to mi idzie, nie to mnie przygnębia. Zgadzam się umrzeć, abyś tylko odnalazła we mnie, choć na jedno

mgnienie powieki, to, co kochałaś. Chcę się oprzeć na sobie, na tej drobnej reszcie, która ze mnie pozostała. Chciałbym się ukryć, osłonić swoją nędzę... A jednak chcę, abyś mnie naprzód obaczyła, i abyś na koniec wiedziała, co należy we mnie kochać, jeżeliś mnie kochała... Pójdź, pójdź, bliżej, bliżej... Nie, nie bliżej mnie, ale bliżej promieni, które oświetlają moją nędzę... Spójrz na te zmarszczki, na te źrenice umarłe, na te wargi... Nie, nie zbliżaj się do mnie, bo cię wstręt ogarnie... Jestem do siebie mniej podobny, niż gdybym wracał ze świata, którego nigdy nie odwiedziło życie... Ty się nie cofasz? Ty się nie dziwisz? Ty nie widzisz mnie, jak mnie widzą te zwierciadła?

JOYZELLA. Widzę, że jesteś blady i że zdajesz się znużony... Nie usuwaj moich ramion... Zbliż twoje lica... Czemu nie chcesz, abym na twoich ustach złożyła pocałunek, jak wówczas, kiedy nam się wszystko uśmiechało w cudownym ogrodzie kwiatów? Miłość ma też swoje dni, kiedy się nic nie uśmiecha... I pocóż ma się uśmiechać, gdy wokoło płacz? Odgarniam twe

włosy, co ci twarz zakrywały i czyniły ją tak smutną. Spójrz, jak one są podobne do tych, które odgarniałam w pierwszym pocałunku. Dość, dość, nie myśl już o kłamstwach zwierciadeł. One nie wiedzą, co mówią; ale miłość dobrze wie o tem. Już życie powraca w twoich oczach, które mnie odnajdują. Nie miej żadnej obawy, bo ja nie czuję jej bynajmniej... Wiem, co trzeba uczynić—i znajdę tajemnicę, co twoją chorobę uleczy.

LANCEOR. Joyzello!

JOYZELLA. Tak, tak, zbliż się do mnie. Kocham cię, gdyś tak w pobliżu mnie, jak w tej minucie szczęśliwej, kiedy nas wszystko łączyło...

LANCEOR. Ah, rozumiem to; ale inna, inna rzecz!...

JOYZELLA. Jaka rzecz?

LANCEOR. Rozumiem, że można swoją miłość odnaleźć w ruinach; że można zgromadzić jej szczątki i jeszcze można je kochać. Ale gdzież są szczątki naszej miłości? Nic już z niej nie pozostało; ponieważ zanim los mnie uderzył, jak to widzisz, ja sam zniszczyłem to; czego on

nie mógł zniszczyć... Oszukałem, skłamałem — i to w tej samej chwili, w której najmniejsze kłamstwo w sferze, gdzie nic się nie zaciera, — rodzi błąd, którego miłość nie może przebaczyć... Prawda umarła w naszym jedynem sercu... Straciłem ufność, którą moje myśli otaczały twoje myśli — tak jak wodę przezroczyłą otacza woda jeszcze jaśniejsza. Już nie wierzę samemu sobie, już nie wierzę w siebie; niema już nic czystego, w czym byś mogła się przejrzeć i cień mój odnaleźć... A dusza moja jest jeszcze smutniejsza niż moje ciało...

JOYZELLA. Czy całowałeś tę kobietę?

LANCEOR. Całowałem.

JOYZELLA. Czy ona cię wzywała?

LANCEOR. Nie wzywała.

JOYZELLA. A czemużeś mówił, że się omyliła?

LANCEOR. Po cóż ci to mówić, Joyzello: jest zapóźno. Nie wierzyłabyś mi wcale, bo musiałabyś uwierzyć w rzeczy niewiarogodne. Szedłem jak w marzeniu, jak we śnie niezwykniętym i szyderczym... Mój duch, rozum, wola — czy ja wiem? — były dalej od siebie samych,

niz to ciało zniszczone od tego, czem ono było niegdyś... Chciałem ci powiedzieć, chciałem krzyczeć tysiąc razy, że jestem kłamstwem, które już samo sobie jest nieposłuszne, i ohydne słowa, któremi kaziłem swe usta, dusiły wbrew mej woli gorące słowa miłości zrozpaczonej i wyznania pełne łez, które się rwały ku tobie... Wysilałem się wewnątrznie, choćby mi serce pękło; i słyszałem własny mój głos przewrotny i zdradziecki, a moje ręce, dłonie, oczy, pocałunki nie mogły mu zaprzeczyć... Bo wyjąwszy duszy, której nie widziałaś, czułem się ofiarą siły wrogiej, niezwalczonej i, niestety, niepojętej!...

JOYZELLA. Ale nie! Ja widziałam twą duszę! I odgadłam natychmiast, że to nie ty byłeś, coś mi tak kłamał; że to było niemożliwe.

LANCEOR. Jakżeś to wiedziała?

JOYZELLA. Bo cię kocham...

LANCEOR. Ale któż ja jestem, Joyzello, cóż ty kochasz we mnie, w którym ja sam sprofanowałem, w którym zniszczyłem wszystko, coś ty kochała?

JOYZELLA. Ciebie...

LANCEOR. Cóż ze mnie pozostało? To już nie są moje ręce, które moc swą utraciły; to nie są moje oczy, których ogień zagasły; to nie moje serce, które swą miłość zdradziło.

JOYZELLA. Ty i zawsze ty i tylko ty sam! I cóż mi z tego, kim ty jesteś, abym cię tylko znalazła... Ach, nie umiałabym powiedzieć, jak to się tłumaczy... Gdy kto kocha tak jak ja cię Kocham, jest ślepy i głuchy, bo widzi rzeczy niewidzialne i słyszy niedosłyszalne. — Gdy kto kocha tak jak ja cię Kocham, — w tym, którego się kocha, kocha się nie to, co on mówi, nie to, co on robi, nie to, czem on jest, ale jego się kocha, tylko jego samego, bo on pozostaje sobą samym po przez wszystkie lata i nieszczęścia, które mijają... Jego samego, ciebie samego, w którym wszystko jest niezmiennie — a miłość rośnie bezustannie. Jego, który cały jest w tobie; ciebie, który cały jest w nim — widzę — pojmuję — słyszę ciągle i Kocham niezmiennie.

LANCEOR. Joyzello!

JOYZELLA. Tak, porwij mię, uściskaj mię całą! Mamy przed sobą walkę, ma-

my cierpienia; ale oto zdaje się jesteśmy w świecie pełnym zasadzek. Jest nas tylko dwoje, ale wszystka miłość jest w nas!

SCENA II.

JOYZELLA, ARYELLA, potem MERLIN.

(Gaj. Joyzella uszpiąta leży na ławce wśród trawnika, przed aleją bukszpanów wyciętych w arkady, gdzie kwitną lilje.—Noc nadchodzi.—Wodotrysk szumi.—Księżyc świeci).

(Wchodzi Aryella).

ARYELLA. Ona śpi. Tchnienia ogrodu milkną dokoła niej, aby słyszeć jej tchnienie; i tylko słowik, powiernik nocy, która go kąpie w swych srebrzystych promieniach, sen jej kołysze... Jakże jest piękna i spokojna!... i jak zdaje się czysta i tysiąc razy czystsza od tej wody, co z lodowisk spłynąwszy, tryska tam w alabastrze i szemrze pod blademi liśćmi. Jej jasne warkocze rozlewają się jak fala nieruchomego światła; i księżyc nie wie już, czyjem jest złoto, zmieszane

z lazurem, przez który się prześlizgują promienie... Zamknęła jasne swe oczy, a jednak światło spadające z gwiazd, z drzeniem podnosi jej rozmodlone powieki, aby znaleźć pod niemi ostatnie wspomnienie pięknego dnia, którego już niema. Usta jej są kwiatem wilgotnym co oddycha; a lilje oblały kroplami rosy jej nagie ramiona, aby dać jej część pereł, jakich noc udziela w milczeniu, w imię nieba, otwartego na skarby świata... Ach, Joyzello, Joyzello! Jam jest tylko widziadłem zabłąkanem w nocy, bardziej zabłąkanem, niż ty — pomimo me jasnowidzenie—i bliższem grobu, gdzie szczęście zamiera... Nie należę do siebie, słucham swego mistrza, nic ci nie mam dać, jedno niewidzialny pocałunek, który cię zbudzić nie może i który nawet nie jest moim... Ale ja cię kocham, kocham jak mniej szczęśliwa siostra kocha tę, którą miłość wybrała przed nią... Kocham cię, otaczam cię kołem wszystkich potęg, niewypowiedzianych w modlitwach człowieka — i chciałabym, aby mój pan spotkał był ciebie wcześniej, zanim przeznaczenie, które mu wydiera tę godzinę

nieporównaną, zapisało straszną przyszłość pełną łez, co go czeka i mnie z nim... Rozlewam swą tkliwość bezsilną i wzruszoną nad twoim snem tak spokojnym... Oto jedyny pocałunek, który dać ci mogę... Ah, czemuż ten, którego jestem tylko cieniem nieświadomym i uległym, nie przybywa tu sam, aby cię pocałować w usta, które mnie nęca, jak wszystko co jest piękne nęci tajemnicę.

(Całuje Joyzellę w czoło).

JOYZELLA (*uśpiona*). Lanceorze!

ARYELLA. Jeszcze jeden pocałunek... Ostatni, jak się pije u źródła zakazanego przez aniołów, co strzegą tajemnic czasu i przestrzeni—a u których brzegu już nigdy się nie usiadzie.

JOYZELLA (*uśpiona, głosem rozmarzonym*). Czy to ty, Lanceorze! Niechaj twe usta lube będą tchnieniem zorzy. Upadam pod ciężarem kwiatów, sypiących się z Raju!

ARYELLA. Wierna we śnie i stała w marzeniu! Demony nocy nie wykradną nic z miłości, która wypełnia przeszłość i przyszłość serca... Ah, panie mój i ojcze! Na nią to czekała napróżno twoja na-

dzieja jedyna, aby odwrócić los, który grozi twej starości... O panie, jeżeli chcesz, jest jeszcze czas... Szczęście twoje tuż, chwytaj je zwawo... Waha się ono niepewne między tobą a twoim synem... Jednego ruchu dość, aby je zatrzymać przy nas... Zbliź się! Ona jest twoja. Pójdź, pójdź! wzywam ciebie. Wiem, że mam słuszość — i człowiek sam nie powinien zrzekać się życia i sam siebie gubić dla zbawienia tych, których kocha...

MERLIN (*zdala, głosem surowego wyrzutu*). Aryello!

(*Wchodzi, owinięty długim płaszczem*).

ARYELLA. Dla ciebie mówię, a mój głos to twój głos.. Mówię w imieniu twego serca, które kocha głęboko, a nie śmie tego wyznać. Musiałeś spotkać, w zapisanej chwili, tę kobietę uspioną, aby uniknąć tej, co twą starość zatruje...

MERLIN. Odejdź, zapóźno już...

ARYELLA. Nie, nie zapóźno... To jedyna chwila... Przeznaczenie twe zależy od gestu, jaki uczynisz..

MERLIN. Odejdź! Nie kuś mnie! Albo cię wtrącę do twej ciemności bezsilnej.

Wyciągnąłem cię stamtąd nie po to, byś mię w błąd wprowadzała, lecz byś mi otwierała oczy.

ARYELLA. Nie znaczy to obłąkać się — być posłusznym instynktowi, który sam jeden tylko zbawia ludzi... Pomyśl o strasznych dniach, jakie ci gotuje Viviana, którą musisz kochać, jeżeli tej kochać nie będziesz...

MERLIN. Viviana? W tem-że to życiu czy na innym świecie imię to brzmi w tajni mego serca, jako imię obłędu, rozpacz i hańby!

ARYELLA. Nie, w tem życiu, w jedynem jakie posiadasz... To imię wróżki, co w Broceliandzie, dokąd cię przeznaczenie prowadzi, czeka, abyś zawitał i abyś starość swą złamał... O mistrzu, ja to widzę! Czuwaj, ona się zbliża, by serce twoje opanować. Z chwilą, gdy miłość tak czysta, tak zbawcza utraci swe prawa, jej miłość wypełni z mroku. Mistrzu, błagam ciebie! Oczy moje już liczą jej fortele, ona cię otacza ramionami, kłamiącemi miłość; zabiera ci potęgę, rozum, mądrość; porywa ci nakoniec tajemnicę twej siły—i jak pijany starzec—

upadasz na ziemię... Wtedy ona cię obdziera, szydzi z ciebie, podnosi się i zamyka nad nami jaskinię śmierci, która się nigdy już nie otworzy.

MERLIN. Więc to nieuniknione?

ARYELLA. Ty wiesz o tem, jak i ja. Nic mi nie może omylić, gdy idzie o ciebie. Mistrzu, błagam cię: dla ciebie i dla siebie, która tak kocham światłość, a tracę ją wraz z tobą... Godzina nieodwołalna. Wybierz, wybierz życie... Ponieważ ono jeszcze ku nam się przychyła, to znaczy, że do nas jeszcze należy i że ty masz do niej prawo...

MERLIN. Odejdź, to bezużyteczne... Zresztą ta by mnie nie kochała...

ARYELLA. Dość, że ty ją kochasz, aby tylko ten, którego ona kocha — nie stał więcej między wami. Oto co czytam w dwoistej przyszłości.

MERLIN (*obcierając czoło z potu udręczenia*). Idź, wiem o wszystkim. Więc było zapisane, że kochając to dziecię, mógłbym się uratować? Lecz ona nie jest dla mnie, a moja godzina minęła. Oto godzina tych, co przychodzą i spotkali się, jak tego pragnął czas i życie.

Odejdź, odejdź, mówię tobie. (*Aryella, zasłaniając twarz, odchodzi w milczeniu*). Zrzekam się swego działu — i dla ciebie synu mój, kończę próbę. (*Zdejmuje płaszcz i ukazuje się większy i odmłodzony, pokryty suknią podobną, do szat Lanceora — i sam do niego dziwnie podobny. Zbliża się do Joyzelli*). Ach, moja czysta Joyzello! Cierpisz też, i jeszcze będziesz cierpiała, ponieważ w łzach ukrywa się tve przeznaczenie: ale cóż znaczą cierpienia, prowadzące do miłości...

Za najokrutniejsze z tych błogosławionych cierpień oddałbym wszystkie radości, jakich doznałem w moim biednym żywocie (*przechyla się nad Joyzellą*). Aryella mówiła prawdę. Dość jednego ruchu, abym cofnął wstecz godziny i dni i tak się wyzwolił od przeraźliwego końca, który los mi przygotowuje. Tak, ale ten ruch niweczy tego, którego kocham bardziej, niż samego siebie; tego, którego lata wybrały dla miłości, jakiej ja oczekiwałem. Ah, gdy się tak trzyma w ręku szczęście własne i szczęście drugiego człowieka! kiedy trzeba zdeptać je-

dno, aby drugie żyć mogło, wtedy się czuje, jak głębokie korzenie wiążą nas z tą ziemią, na której cierpimy: wtedy to życie wydaje okrzyk nadludzki, donośnie upominając się o swoje prawa. Ale wtedy należy też słuchać drugiego głosu, co w nas przemawia, a który nie mówi nam nic pewnego i nic wyraźnego, w którym niema żadnej obietnicy, a który jest jedno szmerem cichym, świętszym, niżeli te bezładne wrzaski życia... Lanceorze i Joyzello, kochajcie się, kochajcie mnie, bo ja was kochałem... Słaby jestem i kruchy — i stworzony dla szczęścia tak jak inni ludzie; i nie bez oporu zrzekam się swego działu. Kochajcie się, moje dzieci, jak słucham cichego szmeru głosu, który niema mi nic do powiedzenia, ale który sam tylko ma słusność.

(Kłęką przed Joyzellą i w czoło ją całuje).

JOYZELLA *(budząc się)*. Lanceorze!

MERLIN. Tak, to ja... Noc mnie tu ścięła do ciebie... Budzę cię nowym pocałunkiem, abyś nanowo znalazła...

JOYZELLA *(podnosząc się gwałtownie*

i patrząc nań z przerażeniem). Kto ty jesteś?

MERLIN (*wyciągając ręce, by ją objąć*). Ty wiesz dobrze, Joyzello, i miłość to powiedzieć musi...

JOYZELLA (*gwałtownie się usuwa*). Ach, nie dotykaj mnie albo wezwę na pomoc Śmierć, aby zakończyła to straszne widzenie... Jakieś mary nieznane opętały mnie tej nocy—ale oto widziadło najnędniesze, najpodlejsze, najokropniejsze ze wszystkich, jakie mi zesłał cień... Jeszcze nie wierzę w nie... Chcę się przebudzić, oczy sobie przecieram, wydieram się... Ah, nie zbliżaj się do mnie!... Precz! Idź — idź odemnie! Budzisz we mnie wstręt...

MERLIN. Spójrz na mnie, Joyzello! Nie rozumiem ciebie. Zapewne jeszcze sen ci miesza pojęcia.

JOYZELLA. Gdzie on jest?

MERLIN. Zbudź się, Joyzello.

JOYZELLA. Gdzie on? Coś z nim zrobił?

MERLIN. Jest on tem wszystkim, czem ja jestem—i jeżeli oczy twe błędzą...

JOYZELLA. A więc nie wiesz, że ja go noszę tu w tych oczach, co ciebie widzą

i porównywiają to, czem on jest z tem, czem ty jesteś?... Ale ty nie wiedziałeś, czem on jest w mojem sercu, że go tak udajesz... Ty obok niego; ty w tem ubraniu i w tej postaci, ach, to jakby śmierć chciała udawać życie... Ale choćby było dwadzieścia tysięcy podobnych do niego, gdyby on jeden tylko nie był podobny do samego siebie z dnia wczorajszego, pominęłabym dwadzieścia tysięcy widziadeł, i poszłabym wprost do tego jedynego człowieka, który nie jest snem śród innych snów! Oh, nie próbuj kryć się w cieniu. Cofasz się zapóźno. Odkryłam cię i wiem, kto jesteś. Znam twoje czarodziejstwa — i jakżebym się śmiała, gdybym nie czuła trwogi, żeś uzurpował tę postać tak drogą i tak nie możliwą do poznania—za pomocą sztuk złośliwych — i żeś mu zadał jakieś wielkie cierpienia... Cóżeś mi zrobił! Gdzie on jest? Ja się dowiem. Nie odejdiesz bez wyjaśnienia. (*Chwytając za rękę Merlina*). Jam jest sama, jam słaba... Ale ja chcę, ja chcę... Ja się dowiem, dowiem.

MERLIN. Zanadto cię kocham, Joyzello, aby cokolwiek złego mu uczynić, dopóki

ty go kochać będziesz. Niechaj się więc nie lęka niczego.—I ty się mnie nie lękaj. Nie jestem tu, aby wyzyskać cię i serce twe opanować. Miałem inny cel. — Słuchaj, Joyzello, nie rywal lub nieszczęśliwy kochanek; przewidujący, niespokojny ojciec mówi do ciebie... Zanim przyszedł ten, co cię zdobył tak, jak nigdy na świecie człowiek nie zdobył kobiety, marzyłem, wyznaję, o szczęściu, którego próżno czekać na schyłku lat... Dziś zrzekam się tego marzenia, ze smutkiem, ale w dobrej wierze. Wiem, jak kochasz biedną nieświadomą istotę, którą złośliwy przypadek postawił na twojej drodze... I nie wąż, mówię ci teraz bez nienawiści i bez zazdrości, choć nie bez trwogi, gdy myślę o strasznych dniach, jakie ci on gotuje... Dlatego się uparłem, że cię muszę oświecić co do niego, choćby to miało ci się nie podobać... Nie mam żadnej innej troski, tylko chciałbym odwrócić tę nieszczęsną miłość, w której czekają cię wszystkie rozczarowania i wszystkie łzy... Nie spodziewam się niczego dla siebie... Nie żądam, abys mnie kochała zamiast niego... Dostatecznie mi wykazałaś, że to niemożliwe... Życzę

sobie tylko, abyś jego więcej nie kochała... To wszystko, o co błagam los; a los tej nocy wysłuchał mych błagań...

JOYZELLA. Jakto?

MERLIN. Próba jest surowa i smutna. Chciałbym ci jej oszczędzić. Ale ty wiesz, że są nieszczęścia zbawienne, przed którymi hańbą jest uciekać. Dość jednego ruchu, aby zburzyć świat. Małe odwrócenie szyi, która jeszcze się pochyla tak spokojnie; jedno spojrzenie tych oczu zbyt ufnych i zbyt niewinnych — zniweczy wobec mnie rzecz najpiękniejszą, jaka budzi miłość w sercu niewieściem.. A jednak, to konieczne. Sprawiedliwie jest i dobrze, aby ona dziś rozpadła się we łzach, które może nie będą niezatarte, ponieważ później płynęłyby w cierpieniach, których nic nie pocieszysz!...

JOYZELLA. Co chcesz powiedzieć?

MERLIN. Że w tej samej chwili, kiedy wszystko, co w twojem sercu jest nie-
tkniętem i prawdziwym, przezroczem i gorącym; — kiedy wszystkie przejrzyste moce twej duszy, wierność, prawość, niewinność twojej krwi dziewiczej unoszą się ku temu, któregoś wybrała, aby

uczynić zeń najczystsze­go, najszczęśliw­szego człowieka: — on tam — poza nami — o dwa kroki od tej ławki — w cieniu tych liści, które sądzi nieprzeniknionemi dla oka — on leży tam w objęciach kobiety, z którą parę dni temu — jak to sama widziałś — kałał już tę cudowną miłość, jaką ty mu dałaś...

JOYZELLA. Nie.

MERLIN. Dla czego mówisz: nie — nawet nie patrząc na mnie?

JOYZELLA. Bo on, to ja sama...

MERLIN. Nie chcę, abyś wierzyła mym słowom. Proszę tylko, abyś odwróciła głowę.

JOYZELLA. Nie.

MERLIN. Czy słyszysz szmer ich pomieszanych głosów — i śpiew pocałunków, odpowiadających pocałunkom.

JOYZELLA. Nie.

MERLIN. Nie podnoś głosu, aby przerwać zbrodnię, której nie chcesz widzieć. Nie usłyszą ciebie; oni słuchają tylko swych ust... Ale odwróć się, Joyzello, błagam cię! Idzie o twoje życie i o szczęście, do którego masz prawo. Nie odpychaj prawdy, która sama idzie ku tobie

i która cię wybawi, jeżeli będziesz miała odwagę ją przyjąć. Ona już nie wróci, chyba po to, abyś płakała kiedyś po niewczasie... Ale patrz, patrz... Możesz nawet nie odwracać głowy... Gwiazda twoja jest łaskawa i wcale nie znużona... Nie zamykaj oczu, ona ci je sama roztwiera... Patrz! cień ich ramion, wydłużony przez księżyc, pełza pod arkadą, ukrywając resztę ciała... Otwórz oczy! Patrz!... Cień ten urąga ci i aż do twych ust się doczołga...

JOYZELLA. Nie!

(Milczenie).

MERLIN. Rozumiem cię, Joyzello. Nie przedemną wyrzekać się będziesz szczęćków twojej miłości. Pozostawiam cię sobie samej, wobec swego obowiązku, wobec swego przeznaczenia... Podobne poświęcenia nie chcą mieć świadków i wymagają milczenia... Oto jest prawda: tchórzostwem byłoby uciekać przed nią. Potrafisz stanąć z nią oko w oko, gdy będziesz sama... Czas jeszcze... Podziwiam cię, Joyzello. Twoje życie i twoje szczęście wzywają twojej odwagi, a zależą od jednego spojrzenia.

(Merlin wychodzi. Joyzella długa

chwilę siedzi na ławce, nieruchoma, z rozszerzoną źrenicą, mocno utkwioną przed siebie.—Poczem się podnosi, wstaje i oddala powoli, nie odwróciwszy głowy).

Akt IV.

(Sala w pałacu. W głębi, na prawo, wielkie łoża marmurowe, na którem leży Lanceor nieprzytomny. Joyzella strwożona, z rozwianym włosom, krąży koło niego).

SCENA I.

JOYZELLA, LANCEOR, potem MERLIN.

JOYZELLA. Lanceorze! O, już on mnie nie słyszy! Oczy ma szeroko otwarte!... Lanceorze! Jam tu, jam przy tobie, patrzę w twoje oczy. Spojrzyj na mnie, spojrzuj! Nie, on mnie nie widzi... Lanceorze, miej litość nademną!... Jeżeli głos twój za słaby, daj jakiś znak życia... Ramionami cię obejmuję, kochającemi ramiony... Przyjdź, o przyjdź do siebie

w naszej wielkiej miłości... Patrz, patrz, rękami podnoszę ci głowę. Czy poznasz me ręce, które ci pieścą włosy? Mówiłeś mi często, gdyśmy byli szczęśliwi; mówiłeś mi często, że najmniejsza pieszczota tych rąk ukochanych przywoła twą duszę, nawet wówczas, gdyby ta w najwyższej błogości żyła w głębi raju, w najczarniejszej nocy głębi... Nie, nie, ona nie jest tam... Ale głowa jego się chyli, ramię opada bezwładnie, a palce jego zimne jak marmur (*machinalnie dotyka kolumny marmurowej koło łóżka*). Nie, to co innego... Ale ja muszę wiedzieć... A jego oczy już nie są... (*Podnosi głowę*). Ach, czy to jego oczy, czy też moje oczy tak się mroczą... Nie, to niemożliwe... Nie, nie, ja nie chcę... Otworzę te usta (*dotyka swemi ustami ust Lanceora*). Lanceorze, Lanceorze! Cały ogień mego życia wejdzie do twojego serca... Nie lękaj się, nie lękaj! to płomień, co zbawia, to życiodawcze życie... Wetchnij je całkowicie aż do ostatniej treści tego oddechu, co ciebie kocha... Chciałabym własną duszę zatracić, aby wymienić nasze dwa żywoty. Przele-

wam na ciebie moje siły, moje godziny, moje lata... Oto je masz, oto one! Uczyń tylko gest, otwórz usta... To musi być... Musi być możliwem takie wskrzeszenie tych, których kochamy więcej niż siebie... Ponieważ oddaje się im wszystko, oni muszą przyjąć... (*Podnosi głowę, by spojrzeć na Lanceora*). Upada! Oddała się! (*Półobłąkana chwyciła go znów w objęcia*). Na pomoc! To za wiele! Na pomoc! Przybywajcie! Ach, nie, ja wiem dobrze, wiem, wiem, — to nie *ona!* Ona nie przychodzi, gdy miłość jej tak grozi!.. Nie, nie, ja się nie lękam niczego, nie, nie, ja nie chcę... Ale wołam pomocy, ratunku! Nie mogę być sama, nie mogę walczyć sama przeciw wszystkim potęgom nadchodzącej Śmierci! Jeżeli nikt nie przyjdzie, ona zwycięży! Pomocy, wołam!.. Musi ktoś przyjść na pomoc!.. Życie musi mi pomódz, bo ja już nie mogę, nie mogę i... upadniemy.

(*Upada we łzach na martwe ciało Lanceora. Wchodzi Merlin*).

MERLIN. Joyzello, oto jestem.

JOYZELLA (*prostuje się, jakby idąc na spotkanie Merlina, przyczem trzyma*

w objęciach Lanceora). Ach, to ty! Więc to ty! Nareszcie pomoc i życie nadchodzi! Spójrz, czy widzisz? Już czas, on upada! Do stóp ci się chylę! Tak, tak, ty możesz wszystko: ja to widziałam jasno! Ach, w takiej chwili dusza bywa jasnowidząca nawet w najgłębszą noc, której gwiazdy żadne nie oświetlają... Błagam cię, mów, co mam czynić? Już nie jestem Joyzellą, już nie jestem dziczką, nie mam już dumy! Złamana jestem, półmartwa, ścielę się u twych nóg! I niema teraz mowy o tem, ani owem, o miłości i pocałunkach, ani o żadnych drobiazgach... Życie i śmierć stoją tu oko w oko, walczą tu wobec nas — i trzeba je rozdzielić! A ty nic nie czynisz? Ach, znam twoją nienawiść i złość do tego bezbron nego człowieka... Tak, ty masz słuszność, on jest wszystkim czem chcesz, on jest nikczemnikiem, przechera, twoim wrogiem, zdrajcą dziesięciokrotnym, jeżeli ci o to idzie... Tak, wyznaję, nie miałam racji, i już nie kocham go, bo ty nie życzysz sobie tego — i jestem gotowa na wszystko, abyś tylko jego ratował... Ale to jest konieczne, to jest jedynie wa-

zne, a wszystko inne jest szaleństwem... Zbliź się, zbliź, bo mówię ci, że *ona* tryumfuje, i że zwycięży! Patrz, jak zsiwały te ręce, jak te oczy blask utraciły, a to jest przerażające...

MERLIN. Joyzello, nie lękaj się niczego; życie jego jest w moich rękach i uratuję go, jeżeli chcesz, aby go uratować.

JOYZELLA. Jeżeli chcę, by go uratować?.. Ależ czy nie wiesz, że gdyby się wahał... Ale czy nie wiesz, że gdyby dla niego było trzeba... Nie, nie, chciałam powiedzieć... przygnębienie płacze mój umysł... On już nie oddycha, nie słyszę bicia jego serca. Tyś tak powolny! Czy sądzisz, że niema niebezpieczeństwa, że pośpiech nie jest konieczny!.. Nie będę już mówiła więcej; przezemnie tracisz minuty, w czasie których może mógłbyś go uratować... Jeżeli nie chcesz mu dopomódz sam—i rozumiem to, bo ty go nienawidzisz — powiedz mi poprostu, co mam uczynić, by go uratować. Potrafię to zrobić. Ale widzę i pewna jestem, że już nie można czekać i że należy się śpieszyć.

MERLIN. Powiedziałem ci, Joyzello, życie jego jest w moim ręku i nie może się

przerwać, jeżeli ja się na to nie zgodzę. Upowiedziałem cię o tem. Truczizna czyni swoje; ja to rozpoznaję. Ja tylko jeden mogę go wyleczyć, wyrwać z objęć śmierci, przywołać jego moc i piękność, co przechodzą—i oddać ci go takim, jakim był zanim...

JOYZELLA. Ach, błagam cię, nie zwlekaj! Cóż mnie jego piękność obchodzi, gdy jego życie zanika... Zwróć mi go takim, jakim jest—coż mi znaczy piękność—aby go tylko miała z powrotem, aby tylko oddychał...

MERLIN. Dobrze, ja ci go zwrócę... Jużem to zrobił dwa razy—i żałowałem tego — i poraz ostatni to zrobię, ponieważ tak bardzo tego pragniesz; ale jest to ofiara, jakiej by nie uzyskał nikt prócz ciebie. Zwracając mu życie, stawiam na kartę swoje własne. Aby jego siłę przebudzić, aby jego duszę przywołać do życia, muszę mu oddać część swojej siły, część swojej duszy. Może być, że on mi zabierze więcej niż mi pozostało—i że martwy upadnę koło rywala, któregom obudził do życia... Niegdyś ryzykowałem tak moje życie, aby ratować przechodnia,

prawie bez namysłu i nie żądając za to żadnej nagrody. Ale dziś jestem mędrszy i rozważniejszy. Ponieważ ofiaruję życie, słuszna, aby mi zapłacono i aby mi zapłacono z góry — i nie oddam mu życia, jeżeli mi nie złożysz obietnicy najdroższego momentu twojej...

JOYZELLA. Jak to? Coż mam uczynić?

MERLIN. O biedne, przeczyste dziecko!.. A wy, moje czyste myśli nie mieszajcie się do ohydnych słów, jakie mój głos wypowie obok ich miłości... Rumienię się wobec tej próby i wstydę się słów, których mam użyć... Przebaczysz mi, kiedy się dowiesz o wszystkim... To nie ja mówię; to mówi przyszłość, której człowiek znać nie powinien; przyszłość bez wstydu, bez litości, która objawia jeden dzień i rozświetla przeznaczenie po to jedynie, aby ukryć resztę — i która chce, abym poznał, czy to ty jesteś ta wskazana...

JOYZELLA. Co ty mówisz? Czemu się wahasz? Niema na świecie nic — na próżno badam — niema nic na świecie na tym i na tamtym, na co bym nie mo-

gła odpowiedzieć... Pytaj mnie, o co chcesz...

MERLIN. Oto jest rzecz: nie będę już mówił zagadkami... Człowiek, którego tu widzisz — i którego obejmują twe ramiona, leży rozciągnięty, a tak blizki śmierci, jakby już leżał na grobowej desce. Jeden gest przywoła go na stronę życia; jeden gest strąci go tam w otchłanie... Otóż, w tej samej chwili, w której ty powiesz tak — i zanim echo drzemiące w cieniu łuków marmurowych znajdzie czas na powtórzenie twojego tak, uczynię gest nieomylny, który go wydobędzie z mroku, jeżeli tylko ty przyrzeczesz mi, że tej nocy przyjdiesz tu do tej sali, gdzie ci go zwrócę i że na tem samem łożu, gdzie teraz leżysz przechylona — bez wstydu, bez zastrzeżeń, oddasz mi się cała...

JOYZELLA. Jakto? Ja mam ci się oddać?

MERLIN. Tak

JOYZELLA. Ja, mam oddać się tobie, kiedy on mi będzie zwrócony?

MERLIN. Aby ci był zwrócony.

JOYZELLA. Nie, nie zrozumiałam... Są zapewne słowa, których nie rozu-

miem... Nie, to niepodobna, aby człowiek, który nie jest księciem piekieł zjawiał się w taki sposób w chwili, kiedy najwyższy ból serdeczny już nie wie, czego się może spodziewać, i co ma przedsięwziąć... Nie, ja źle słyszałam i obelgi w twarz ci rzucam... Musisz mi przebaczyć, jestem dziewczyna nieświadoma i nie zupełnie rozumiem, co znaczyły twoje słowa... Ale teraz widzę... Tak, ty masz słuszość. Tak, ty chcesz powiedzieć, że i ja powinnam wziąć udział w tem niebezpieczeństwie—i chcesz moje życie na chwilę połączyć ze swoim, aby stworzyć inne życie, mające go ożywić... Ale ten udział ja chcę mieć sama dla siebie, chcę go mieć całkowitym, ile można największym — i nie przypuszczałam, że mogę go otrzymać...

MERLIN. Joyzello, czas ucieka... Nie szukaj żadnych omówień, ty wiesz, czego ja chcę od ciebie, a słowo moje wyraża jasno to, w co ty nie chcesz wierzyć.

JOYZELLA. A zatem, mam w tej samej chwili, kiedy on do życia powróci, kiedy znów oddychać zacznie w mych ramio-

nach i uśmiechać się do miłości, którą odnajdzie nanowo, mam w tej samej chwili odebrać mu wszystko, co mu dałam?... Ale cóż mu pozostanie, gdy ty nam wszystko zabierasz; i cóż ja mu powiem, gdy on mię uściśnie?...

MERLIN. Nic mu nie powiesz, jeżeli istotnie szczęścia jego pragniesz...

JOYZELLA. Ale ja muszę powiedzieć mu wszystko, ponieważ go kocham... Nie, nie, ja to widzę dobrze... To niemożliwe, to nie istnieje... I muszą być bogowie czy demony, co przeszkodzą temu: inaczej nie wiem, po co pragnąć życia... Mam ufność do ciebie... To była tylko próba, i wszystko to jest sen, nie rzeczywistość. I zdaje mi się nawet, że już z mniejszą złością patrzysz na mnie. Patrz, błagam cię, rzucam się do twych nóg i całuję twe ręce... Wyznam ci wszystko... Nie kochałam ciebie, boś go zbyt nienawidził; ale nie przypuszczałam nigdy, abyś był tak niesprawiedliwy i tak niegodny miłości. Kiedy tu wszedłeś, nie wahałam się; poszłam ku tobie, błagałam cię, abyś wyrwał śmierci jedyne go człowieka, którego kocham; a przecież

wiedziałam, że ty kochasz mnie także... Ale—nie wiem dla czego—instynkt mówił mi, że jesteś szlachetny i zdolny uczynić to, co bym ja uczyniła dla ciebie, coby on sam uczynił; a gdy uczynisz to co my byśmy uczynili — w sercach naszych będziesz miał część naszej miłości, część nie najmniej dobrą, nie najmniej piękną i nie najmniej przemijającą...

MERLIN. O tak, wiem o tem. Kiedy mu zwrócę życie za cenę własnego życia, on otrzyma pocałunki, i usta, i oczy, i dni, i noce, słowem wszystko, co stanowi przemijające i próżne szczęście miłości... Ale ja zyskam więcej... Czasami, przypadkowo uzyskam przy spotkaniu życzliwy uśmiech, który nie przypadnie, abym tylko nie chciał zbyt często się go dopominać. Nie, Joyzello, w moim wieku już się nikt nie zadowala złudzeniami tego rodzaju, ani resztkami urojenia. Minęła dla mnie godzina bohaterskiego kłamstwa. Chcę mieć to, co on będzie miał. Mało mi zależy na twoim uśmiechu, który wiem że jest niemożliwy, ciebie samej pragnę... Całą cię pożądam, choćby na jedną chwilę; ale tę chwilę bę-

dę miał; tę chwilę mi daj. (*Zbliżając się do Lanceora*). Patrz, Joyzello, twarz jego się rozkłada, zwlekaliśmy za długo, a niebezpieczeństwo rośnie co chwila... Czy przyjdiesz?...

JOYZELLA (*lłędnie patrząc dokoła*). I nic nie grzmi, nic się nie wali, a ja jestem sama na świecie!..

MERLIN (*dotykając ciała*). Niebezpieczeństwo straszne, poznaję symptomy...

JOYZELLA. A więc dobrze, przyjdę! Przyjdę tej nocy! przyjdę wieczorem!... Ale naprzód ratuj go! zwróć mu życie. Patrz, te oczy się wydrażają, te usta więdną, a ja tu się targuję o jego życie, jakby szło...

MERLIN. Zwrócę ci go. Ale pamiętaj, Joyzello, że gdybyś nie była wierną swej obietnicy, ręka, co go leczy, uderzyła by go bez litości...

JOYZELLA. Nie, będę wierną słowu— i na kolanach pójdę na drugi świat, aby być wierną. Przyjdę, mówię ci... Cała ci się oddam, cała jestem twoja... Czego chcesz więcej?... Nic mi już nie pozostaje...

MERLIN. Dobrze. Mam twą obietnicę. Wypełnię swoją. (*Na stronie, biorąc*

Lanceora w ramiona). Przebacz mi, synu mój, w imieniu twych przeznaczeń, które się domagają tej męczarni. (*Przechyliła się nad nim i długi pocałunek składa na jego ustach i powiekach*). Oto powraca z krain bez światła... Życie mu zwrócone, ale przebudzi się tylko w twoich gorących ramionach. Zostawiam cię twemu zadaniu. Pamiętaj o swem słowie!...

(*Wychodzi.—Joyzella wzięta Lanceora w ramiona — i w trwodze patrzy na niego.—Wkrótce oczy kochanka się otwierają, a ręce czynią słaby ruch*).

JOYZELLA. Lanceorze!... Oczy jego się otwarły i znowu zamknęły — i widziałam światło, kąpiące się w błękicie... A teraz jego ręce zdają się szukać moich... Otc moje ręce, Lanceorze, one są w twoim ręku, ach, a twoje ręce już nie są zimne jak lód! Moje ręce nie puszczają twoich w obawie, że je utracą... A jednak chciałabym podtrzymać tve barki i objąć twą szyję, co się chyli ku memu łonu... Ach, wszystko dobre powraca — powraca w jednej chwili... Czuję już, jak bije jego serce, oddycham jego oddechem... Wszystko mi zabrano, ale mi wszystko zwró-

cono... Słuchaj mnie, Lanceorze, chciała-
bym cię zobaczyć, szukam twego obli-
cza, nie kryj czoła w mych włosach, co
cię kochają... Oczy moje kochają cię
więcej i dopominają się o swój dział...
(*Lanceor zlekka podnosi głowę*). Słyszał
mnie i wysłuchał... O, już niema wąt-
pienia, zmartwychwstał, tu — wobec
mnie—i jest teraz żywszy niżli samo ży-
cie... On tu jest przy mnie, a róże ju-
trzenki i kwiaty przebudzenia ożywiły
jego jagody i pokrywają jego uśmiech...
on już się uśmiecha tak jakby mnie
miał zobaczyć... Ach, bogowie są za do-
brzy! Mają litość nad ludźmi! Jest niebo,
co się otwiera! Są bogowie miłości! Są
bogowie życia... Trzeba im okazać
wdzięczność i kochać się więcej, ponie-
waż oni nas kochają... Pójdź, pójdź
w me ramiona: oczy twoje szukają mnie
jeszcze, ale usta tve mnie odnajdują...
Już się otwarły, by wywołać moje! a mo-
je usta patrz—oto są—pełne miłości...

(*Milczenie. — Joyzella całuje go długo
i gorąco*).

LANCEOR (*wracając do przytomności*).
Joyzello!

JOYZELLA. Tak, to ja, to ja... Patrz na mnie, patrz! Oto moje ręce, moje czoło, moje włosy, moje ramiona... Oto moje pocałunki, które pozna czar twoich pocałunków.

LANCEOR. Tak, to ty, to ty—i światło... Ach, i ta sala, którą widziałem... Trzeba chwilę czekać... Cóż to mi się stało?... Wracam do przytomności... Leżałem tam, tam, nie wiem gdzie, przed jakąś wielką bramą, którą chcieli otworzyć... Byłem pogrzebiony, a zimno mnie opanowało... Potem wołałem ciebie, wołałem bez końca—a ty nie przychodziłaś...

JOYZELLA. Ale ja przyszłam, ja byłam, byłam przy tobie!

LANCEOR. Nie, ty nie byłaś przy mnie... Lody mię pochwytyły, noc mnie pochwytyła, życie me się rozwiewało... Ale teraz ty jesteś, jesteś... Oczy me się otwarły—i nagle cię widzą, gdy wyszły z mroku... Napróżno są zdumione wielkiem światłem; ty jesteś przy mnie—a ja przechodzę wprost z grobu w promienie słońca i ramiona miłości. Tak się to zda niepodobnym temu, kto wraca z tak daleka... Muszę się dotknąć ciebie, muszę się ucze-

pić pieśczoły twoich rąk, promień twoich oczu, muszę ująć złoto przeczyste twych włosów, które mi świadczą, że jest dzień! Ach, ty nie wiesz, jak się kocha, umierając—i jak ja kochać cię będę, ja com utracił ciebie i odnalazł z powrotem...

JOYZELLA. I ja też, i ja też!

LANCEOR. O, jakaż to radość wrócić w objęcia ramion, które drżą jeszcze, bo już nie miały nadziei... Czy ty czujesz, jak twoje ramiona drżą, a moje cię ubóstwiają? Szukają się, obejmują, pełne trwogi, że się zatracą i nie śmia już się otworzyć. Już nie słuchają nas, nie wiedzą, że ranią i duszą nas w swoim ślepem upojeniu. Ah, wiedzą one wreszcie co znaczy uścisk gorącego ciała; i chciałyby się umrzeć, aby poznać życie i poznać miłość!...

JOYZELLA. Tak, chciałoby się umrzeć...

LANCEOR. To dziwne, kiedy byłem tam—w tej lodowatej krainie—ktoś zbliżył się do mnie... zdaje się, że go poznał.

JOYZELLA. To był on.

LANCEOR. Kto?

JOYZELLA. Pan tej wyspy.

LANCEOR. On? Ależ on mnie nienawidził.

JOYZELLA. To był on.

LANCEOR. Nie rozumiem dobrze. Więc to on mię przywołał do miłości, do życia. Chciał mię oddać tej, która mnie kochała i którą on sam kochał?

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. Ale dla czego to zrobił?

JOYZELLA. Błagałam go tak gorąco, aż przystał.

LANCEOR. Czy się wahał?

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. Dlaczego?

JOYZELLA. Mówił, że ratując twoje życie, stawia na kartę swoje.

LANCEOR. Nic go nie zmuszało... A więc poprostu wrócił on życie jedynemu człowiekowi, który niweczy mu nadzieję miłości, coby go mogła uszczęśliwić.

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. I nic za to nie żądał? tylko przez dobroć, litość, szlachetność...

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. Ach, byliśmy niesprawiedliwi, a najgorsi wrogowi są lepsi niż nam się zdaje... Są skarby szlachectwa i miłości nawet w sercu nienawiści... I on to zrobił... Nie, naprawdę nie wiem, czy

ja potrafiłbym to zrobić... Nie przypuszczałbym, że ten biedny starzec... Nieprawdaż, Joyzello, że to niemal niewiarogodne i że to bohaterskie...

JOYZELLA. Tak.

LANCEOR. Gdzież on jest? Musimy iść rzucić mu się do nóg, wyznać swój błąd, zmazać naszą niesprawiedliwość, żeśmy go nie kochali... Musi on mieć swój dział — i najlepszy dział szczęścia, które nam zwraca... Musi on mieć nasze serca, naszą radość, nasze uśmiechy i nasze łązy miłości: wszystko co można dać tym, którym się daje wszystko...

JOYZELLA. Pójdziemy, pójdziemy...

LANCEOR. Joyzello, co ci jest?... Nie wiem, czy moje zmysły są jeszcze pod panowaniem nocy, z której wychodzę, ale nie poznaję twoich słów i ruchów... Myślałby kto, że ty się wahasz, że wątpisz, że śniesz... A ja, który powracam do ciebie pełen radości i miłości — tak mało ich znajduję w twoich oczach, co się kryją przedemną; w twoich rękach, co o mnie zapomniały. Cóż się stało? Po co mnie przywołano do życia, jeżeli w czasie mego letargu—utraciłem to, com kochał.

JOYZELLA. O, nie, nie, Lanceorze! tyś mię nie stracił...

LANCEOR. Głos twój pożąda uśmiechu, a tylko żalność znajduje.

JOYZELLA. Tak, chciałabym się uśmiechnąć i już się uśmiecham... Ale nie dziw się; płakałam tak długo i tak rozpaczliwie, że łyzy jeszcze dotąd mimowoli stoją mi w oczach... Radość była tak daleko, że nie może powrócić za pierwszym pocałunkiem... Trzeba wiele pocałunków, zanim ona zdobędzie w sercu mojem zaufanie—i prawie smutna jestem śród tego szczęścia...

LANCEOR. O biedna moja Joyzello! Więc to to oznacza twoje milczenie tak surowe... A ja się niepokoiłem, jak głupie dziecko... Myślę tylko o sobie, jestem upojony życiem i nic nie rozumiem... Zapomniałem, że na twojem miejscu utraciłbym odwagę... Prawda, masz rację, to ty wracasz z krainy śmierci — nie ja. A gdy dwie istoty kochają się tak jak my się Kochamy, tylko ten, który nie umiera, umiera rzeczywiście. Nie kryj swoich łez... Im zdajesz się smutniejszą, tem bardziej widzę, że mnie kochasz... Teraz,

ja się zaopiekuję tobą, teraz ja przywołam twą duszę, ja ogrzeję twe ręce, szukać będę twych ust—i sprowadzę cię do tej krainy szczęścia, którą utraciliśmy... Będziemy tam niedługo, ponieważ miłość nami kieruje... Ona zwycięża wszystko, gdy znajdzie dwoje serc, które jej się oddają bez trwogi i bez zastrzeżeń. Wszystko inne jest niczem, wszystko inne się zapomina, wszystko inne na bok schodzi i jej miejsca ustępuje...

JOYZELLA (*zapatrzona przed siebie*).
Wszystko inne schodzi na bok i jej miejsca ustępuje...

Akt V.

Galerja w pałacu.

SCENA I.

Wchodzą MERLIN i LANCEOR.

LANCEOR. Mój ojczy! Więc to prawda, że ty jesteś moim ojcem? Odkąd wiem o tem, zdaje mi się istotnie, że wszystko przeczuwało tę prawdę w mojem jasnowidzącem sercu. (*Zbliża się bardziej*).
Ależ tak, to cudowne! Widzę cię nako-

niec takim, jakim cię widziałem wśród igraszek dziecięcych; i gdy spoglądam na ciebie, siebie samego widzę w jakimś zwierciadle poważniejszym, szlachetniejszym i głębszym, niż wszystkie zwierciadła tam w sali. Ale cóż powie Joyzella? Śmiać się będzie do rozpuku, wspominając swą bojaźń, gdyż wyobrażała sobie... Nie, ona sama ci powie, co myślała—i sama się ukarze za te szalone strachy. Nienawidziła ciebie, ale jakąś tkliwą nienawiścią, która już się uśmiechała, jakby przez nią przenikały promienie miłości... Ale gdzież ona się chowa? Od dwóch godzin szukam jej na próżno. Czyś jej nie widział? Muszę natychmiast jej opowiedzieć o szczęściu, jakie nam przynosi wieczór dzisiejszy.

MERLIN. Jeszcze nie. Muszę być dla niej aż do końca dzisiejszego dnia — tyranem bez litości, który ją przeklnie w swem sercu. Biedne moje, drogie dziecię! Jakżem dręczył jej niebiańskie serce. Ale ty już znasz cel tych wszystkich prób. Dręcząc was, byłem tylko narzędziem losu i burzącym się wciąż niewolnikiem innej woli, której źródła

nie znam, a która zdaje się wymagać, aby najmniejsze szczęście we łzach było wykąpane... Aby przyspieszyć szczęście, przyspieszyłem tylko te łzy, które wisiały nad dwojgiem waszych przeznaczeń... Poznacie kiedyś, dzięki jakiej potędze, która niema w sobie nic magicznego ani nadprzyrodzonego, ale która się jeszcze kryje w głębi żywotów ludzkich — rozkazuję chwilami pewnym zjawiskom, pewnym pozorom, które was obłąkały... Dowiedziecie się też, że zdobyłem sobie dar, częstokroć nieużyteczny, czytania przyszłości — nieco wyraźniej i nieco dalej w jutro, niżli reszta ludzi... Widziałem więc was, jak się szukali nawzajem, po ciemku, w czasie i w przestrzeni, dla jedynej miłości, może najdoskonalszej, jaką widziałem w cieniu dwóch lub trzech ostatnich stuleci... Moglibyście się połączyć po długim błędzeniu; ale należało przyspieszyć oczekiwane spotkanie, dla ciebie mój synu, gdyż w braku miłości czyhała śmierć na ciebie... Z jednej strony nic nie zwiastowało w Joyzelli tej spodziewanej miłości, prócz jakichś ry-

sów rozstrzelonych i niewyraźnych i prób, które miała zwyciężyć... Przyśpieszyłem więc nakazane próby: wszystkie były bolesne lecz konieczne; ostatnia będzie stanowcza, lecz najsurowsza.

LANCEOR. Najsurowsza? Co chcesz powiedzieć? Czy jest niebezpieczna dla niej lub dla innych.

MERLIN. Nie jest niebezpieczną dla niej, lecz po raz ostatni na straszną próbę naraża miłość przeznaczoną, z którą się wiąże twoje życie... Dla tego pomimo wszystko, pomimo ufności, pomimo przewidywań, nawet pewności, lękam się, drzę nieco, gdy oto nadchodzi godzina stanowcza.

LANCEOR. Jeżeli Joyzella postanowi, miłość niema się czego lękać... Idź, nie wahaj się, Joyzella będzie zawsze krynicą radości. Ale nie rozumiem, dlaczego, znając przyszłość, nie mogłeś z góry przewidzieć jej tryumfu.

MERLIN. Mówiłem ci już, zanim tu weszliśmy, Joyzella może zmienić przyszłość, z którą się ściera... Posiada ona moc, którą widziałem tylko w niej; dla tego nie wiem, czy piękne zwycięstwo,

którego oczekuje twa miłość, nie pograży się nieco w mroku i łzach...

LANCEOR. Co chcesz powiedzieć? Zdziesz się niespokojny... Co kryjesz przedemną? Jak możesz wierzyć, że Joyzella stanie się kiedykolwiek przyczyną łez lub przyczyną mroku? Nie masz w Joyzelli nic, coby nie przynosiło zbawienia i miłości: nawet cierpienia, jakie zadać może, jeszcze zawierają błogosławieństwo. Ach, widzę, że znasz niedostatecznie żywy tryumf, jutrznię nieskończoną jej żrenic, jej głosu, jej serca. Trzeba ją było mieć w ramionach, aby wiedzieć jakie skarby nadziei, jakie fale pewności wypływają z najmniejszego słowa, które szepczą jej usta; z najmniejszego uśmiechu, co igra na jej czole... Ale zbyt opóźniam niecierpliwe zwycięstwo... Idź, idź, mój ojczy... Jestem tu, czekam, uważam jak mijają szczęśliwe minuty, aż wielki okrzyk radości mojej Joyzelli nauczy mię, że miłość utrzymała przeznaczenie.

(Merlin całuje Lanceora i wychodzi powoli).

SCENA II

MERLIN, ARYELLA, potem JOYZELLA
i LANCEOR.

(Ta sama sala, co w akcie IV. Księżyc oświetla ją błękitnem światłem. Na prawo na wielkiem łożu marmurowem siedzi Merlin. — Aryella klęczy na stopniach estrady, podtrzymującej łożo).

MERLIN. Aryello, godzina uderza, i Joyzella się zbliża. Zrobiłem ofiarę ze swego bezużytecznego żywota; a jednak chciałbym, aby moja śmierć, jeżeli można, nie przyszła zawczasie, by zasmucić tę najgorętszą i najniewinniejszą miłość, jaką nosiła ziemia... Ale ty drżysz, ty płaczesz i ukrywasz oczy załzawione... Co widzisz, moje dziecko, że tak patrzysz z przerażeniem?

ARYELLA. Mistrzu, błagam cię, odstęp od tej próby, jeszcze czas... Oczy moje nie przenikają mgły, co go otacza. Próba może być śmiertelna, widzę to, czuję: w ręku tej dziewicy oślepionej i szalonej przypadek złożył nasze dwa żywoty. Nie chcę umrzeć! Są inne wyjścia. Zawszem ci służyła jak twoja własna

myśl... Ale dziś ja się lękam, nie mogę iść za tobą... Ty wiesz, że moja śmierć jest echem twojej... Cofnij się, szukać będziemy gdzieindziej, w przyszłości: i jeszcze możemy uniknąć niebezpieczeństwa.

MERLIN. Nie mogę się cofnąć przed ostatnią próbą. Ty masz czuwać, aby poszła dobrze. Ty masz zatrzymać broń, jeszcze niepewną, którą Joyzella ma podnieść przeciw nam...

ARYELLA. Ależ ja nie mogę wiedzieć, czy zdołam to zrobić... Siła Joyzelli jest tak chyża, tak nieujęta, że wyśliźnie się moim ręką, moim oczom, wyśliźnie się przeznaczeniu... Widzę tylko migającą błyskawicę stali... Wszystko miesza się w cieniu, a moje i twoje życie zależą od jednego ruchu mej niezręcznej dłoni...

MERLIN. Ona już tu jest, słyszę ją, porusza drzwi... Słuchaj i milcz; ja też jestem posłuszny. Czuwaj, bądź szybka i silna. Zamknę oczy, aby czekać śmierci...

ARYELLA (*przerazona i szalona*). Cofnij się!... Nie mogę... Odmawiam... Chcę uciekać!...

MERLIN (*rozkazująco*). Milcz!

(*Kładzie się na łożu, zamyka oczy i*

zdaje się głęboko spać. Aryella, tkając, ukrywa się na stopniach estrady.—Z lewa, na przeciwnym końcu sali, otwiera ją się małe drzwi — i wchodzi Joyzella owinięta długim płaszczem z lampką w rękę... Robi dwa lub trzy kroki, potem się zatrzymuje.—Aryella wstaje — i niewidzialna za ciężką zastoną, czeka u stóp łoża).

JOYZELLA (zatrzymuje się, z błędnem okiem, niepewna, drżąca). Teraz i tutaj... Robię ostatni krok... Aż do tej chwili, której czas teraz już nie może zatrzymać, a w której ma się stać rzecz niezglądzona; aż do tych małych drzwiczek, które się zamknęły nad dwojgiem przeznaczeń, wiedziałam, wiedziałam wszystko, co należy uczynić... Ach, rozmyślałam długo, długo i sądziłam sprawiedliwie. Było tylko to, nie było nic innego; było to pewne, słuszne, nieuchronne... Ale teraz wszystko się zmienia i wszystko zapomniałam. Są inne siły, inne głosy — i sama jedna stoję przeciw temu wszystkiemu, co szepcze w tę noc niepewną... Sprawiedliwości! gdzie jesteś? Sprawiedliwości! co mam czynić? Ja to działałam,

boś ty tego chciała... Tyś mnie natchnęła, tyś mnie przekonała... Tam, przed chwilą jeszcze, pod promieniami tysiąca gwiazd, oświetlających te drzwi, na które wskazywałaś, by umocnić mą duszę... Nie było wtedy żadnych wątpliwości: pewność zupełna wszystkiego co oddycha, wszystkiego co drga, wszystkiego co kocha i ma prawo do miłości, opromieniała me serce. Ale wobec oblicza samego czynu, ty sama się cofasz, ty zaprzeczasz swym prawom, ty mnie opuszczasz!... Ach, czuję się zbyt samotna, jak ślepa niewolnica oddana siłom niewiadomym... Pójdę, nie patrząc... Na nic nie baczę i podniosę obłąkane oczy na łożo dopiero wówczas, kiedy... (*Idzie powolnym krokiem, mechanicznie, naprzód, aż do łoża*). Teraz, los sam powie: *ak!* (*Podnosi lampę, spogląda na łożko, widzi Merlina uśpionego i zdumiona czyni gest w tył*). On śpi... Co to jest? Nie przewidziałam tego. Wszystko, wyjąwszy to... Mamże jeszcze czekać? O, chciałabym zaczekać... Śpi głęboko... Więc nie chciał wcale... Ale gdyby nie spał, nie mogłabym tego zrobić... Roz-

broił by mnie, opanował... Więc to prawda: los, sprawiedliwy, szczęsny los oddaje mi więcej nad to? A przecież, jeżeli śpi, nie mogę wiedzieć... Może poczuł liłość nade mną, może się wyrzekł wszystkiego, możeby powiedział: idź precz! Nie był on bez duszy, a chwilami przemawiał jak ojciec... Ach, gdyby czuwał, gdyby stał, wyciągnąwszy ku mnie rękę, z gestem... Wtedy, wtedy byłabym silna i zwyciężyłabym... Ale człowiek uśpiony... To kruszy nienawiść. A potem nie wiadomo... I zmienić ten sen chwilowy, który lada słowo może rozwiązać w sen, którego żadna siła ludzka ani nadludzka nie przerwie... O, chciałabym przy najmniej aby jedno słowo przebaczenia.. Ale nie, jestem zbyt bojaźliwa!... To trwożęga mię okłamuje... Nie przyszłam tu, by rozważać jeszcze... Niema wątpliwości potem, co on zrobił i co powiedział... Słucham tylko swego głosu, głosu mego przezna czenia, które chce, bym nas zbawiła.. A Tym gorzej, jeżeli się mylę... Moja prawda! moja prawda! Ty, lampo moja, zgacnij; widziałam to, co trzeba widzieć.. w
(Gasi lampę, stawia ją na schodach)

w marmurowych, wyjmuję z zanadrza ukryty puginał, podnosi go i chwilę mu się przygląda). Teraz, twoja kolej...
li O, gdybyś mógł wykonać to, czego pragnie myśl moja, aby ta śmierć co błyska na końcu tego ostrza nie była prawdziwą śmiercią, nieodwołalną śmiercią... Ale to za wiele... Już czas... Słowo — czyn. Uderzam.

(Podnosi sztylet by uderzyć Merlina. Aryella, niewidzialna, chwytą za rękę — i bez żadnego zewnętrznego wysiłku, paralizuje jej ruch. — W tej samej chwili Merlin otwiera oczy, podnosi się i radosnym ruchem tkliwie obejmuje Joyzellę swemi ramionami).

MERLIN. Dobrze! Joyzella jest wielka, Joyzella tryumfuje. Zwyciężyła los, słuchając miłości: i ciebie, moje dziecko, wybrało przeznaczenie.

JOYZELLA (nie rozumiejąc jeszcze, wydziera się). Nie, nie, nie! Nie mogłam! Ach, jeśli brak mi serca, to przecież mam odwagę. I jeżeli nie mam już siły, to mam całe życie — i nigdy, nigdy póki mi tchu wystarczy...

MERLIN. Spójrz na mnie, Joyzello!

Zwracam się ramieniu, które podniosłaś w obronie miłości. Pozostawiam mu broń, która chciała mnie uderzyć i słusznie uderzyć... Aż do tego gestu wszystko było nieokreślone, teraz wszystko jest jasne, wszystko promienne i pewne... Spójrz na mnie, Joyzello, i nie lękaj się moich ust... Szukają one twego czoła, aby wreszcie złożyć na niem pocałunek, jaki składa ojciec na czole swej córki...

JOYZELLA. Cóż to znaczy — i co ty chcesz powiedzieć? Nie rozumiem.—Tak, widzę teraz w twych oczach, że zdajesz się mnie kochać, jak się kocha dziecko... Więc się omyliłam, a właśnie miałam zamiar!..

MERLIN. Nie, ty miałaś słusność. Nie byłabyś tą, której miłość wymaga, gdybyś nie uczyniła tego, coś zamierzała uczynić.

JOYZELLA. Nic już nie wiem, marzę... Ale ponieważ nie jest to rzecz ohydna, oddaję się marzeniu...

MERLIN. Tak, to prawda, moja Joyzello, zwlekam z moją radością, z twojem szczęśliwem zdumieniem, śledzę twe oczy, które mi się zdają tak piękne w niepokoju: pragną się wyślignąć mej

uwadze, a już patrzą pełne zaufania. — Już nie wiedzą, gdzie złożyć skrzydła, jak ptaki morskie, zabłąkane zdała od brzegu. Bo i ja przyjmuję udział w szczęściu, jakie ci ofiaruję... Nie będę miał innego... Ale ty bądź spokojna, razem zaczniemy zgłębiać tajniki przeznaczenia, i gdy Lanceor...

JOYZELLA. Gdzie on jest?

MERLIN. Ach, imię to cię budzi — i oto brzeg ukazuje się oczom, zabłąkanym w przestrzeni... Słuchaj, ja go już słyszę... Serce twoje, mimowiednie, ostrzegło go, żeś go kochała aż do szczytu, poza który miłość przejść nie może... On śpieszy, on już jest...

(Drzwi się otwierają; wchodzi Lanceor, za nim Aryella, niewidzialna).

LANCEOR. Ojczy! ona jest moja!

MERLIN. Synu, ona tryumfuje. Przeznaczenie ci ją daje.

LANCEOR *(chwytając Joyzellę w objęcia i pokrywając ją szalonymi pocałunkami)*. Ach, jakżem ja to przeczuwał — i jakże byłem tego pewny! Joyzello, moja Joyzello! Nie pytam się ciebie, coś mogła uczynić dla rozbrojenia losu... Je-

szcze nie wiem; ale wiemy wszystko z góry, gdy się kto kocha tak jak my — i już witam nową prawdę, jaka objawić się musiała temu, który dotknął twego serca... Ach, ojcze, mój ojcze! mówiłem ci o tem dawno... Ale ona nie rozumie, dla czego ja cię całuję... To prawda, to za prędko... Zbliź się, Joyzello, abym was oboje mógł złączyć w jednym uścisku... Mamy przed sobą wroga, co nas kocha; zmuszony był on zadawać nam udręczenia; a ten drogi nieprzyjaciel — to był mój własny ojciec, który sądził że zginął; mój ojciec obecny tutaj, odnaleziony powtórnie i który czeka tylko na uśmiech, aby cię też pocałować... O nie oddalaj się, nie patrz na mnie tym wzrokiem, w którym już czuć wyrzuty... Nic nie ukryłem przed tobą... Wiem to od niedawna, od dziś wieczora, od chwili, gdym się z tobą rozstał — i od chwili, gdym się o tem dowiedział, musiałem unikać ciebie, aby się nie zdradzić, gdyż całe nasze szczęście zależało zdaje się, od tej ostatniej tajemnicy; a gdy się tajemnicę składa w miłości, to jakby ukrywano zapaloną lampę w kry-

szałowem naczyniu... Poznałabyś wszystko, choćby tylko z moich oczu, z moich ust, z mego cienia... A nie mogłem ci ujawniać swego szczęścia... Musiałaś go nie znać aż do najwyższej próby... Musiałaś wykonać jakąś rzecz niewykonalną... Jaką? Nie wiem; ale na próżno się uśmiechałem, musiałem ustąpić; musiałem czekać i rachować cierpliwie minuty owej godziny, która tak dzieliła dwa niecierpliwie upojenia... Ale teraz przybiegam, słucham, chcę wiedzieć... Mów, mów, słucham!

JOYZELLA. Ponieważ jesteś szczęśliwy i ja też jestem szczęśliwa. Nic więcej nie wiem... Zaledwie, że się obudziłam ze snów okropnych i niezrozumiałych.

MERLIN. Tak, moja biedna Joyzello, sen był okropny; ale oto leży on powalony, a próba minęła, budując podstawy szczęścia, któremu nic już nie grozi, prócz tej nieprzyjaciółki, co grozi wszystkim ludziom...

LANCEOR. Ale jakąż wreszcie była ta straszliwa próba?

MERLIN. Joyzella ci to opowie w pierwszych pocałunkach, wolnych od wszel-

kiego niepokoju, a które wymienicie po tem zwycięstwie. Odślonią one daleko lepiej, niż moje biedne słowo to, co się w tej próbie zdaje nieprzebaczonem. Była to próba niebezpieczna i prawie nie do przewyciężenia; Joyzella mogła wybrać drogę rozmaitą... Mogła ustąpić, mogła poświęcić się sama, poświęcić swoją miłość, mogła oddać się rozpacz: alboż ja wiem? Nie byłaby wtedy Joyzellą oczekiwaną. Był to tylko szlak, wykreślony przez przeznaczenie: weszła na tę ścieżkę, kroczyła po niej aż do końca i zbawiła ci życie, zbawiając swą miłość...

JOYZELLA. Więc jest nakazane, aby miłość wymierzała ciosy i zabijała wszystko, co stoi na jej drodze?

MERLIN. Nie, Joyzello, nie wiem... Nie róbmy praw z kilku szczątków, zebranych w nocy, która otacza nasze myśli... Ale ta, która powinna była uczynić to, co ty chciałaś uczynić, była tą, którą los przeznaczył dla mego syna... Było więc zapisane dla ciebie, dla ciebie jednej tylko— i może dla tych, które ci są trochę podobne, że one mają prawo do miłości, jaką im wskazuje przeznaczenie; i że ta mi-

łość przeważy wszystko, co jest niesprawiedliwe.—Nie sędzę cię zupełnie; los cię zatwierdza; alem szczęśliwy, że on wybrał cię między niewiastami.

JOYZELLA. Ojcze mój! Drzę jeszcze, patrząc na tę broń, która jedną chwilę... Wybacz mi, mój ojcze, jam cię już kochała...

MERLIN. Ja teraz proszę cię, abyś wyciągnęła do mnie rękę przebaczenia.

JOYZELLA. Nie, nie, to nie zimne ręce przebaczenia... To ręce, które pieścą, uwielbiają, dziękują... Rozumiem teraz, dla czego, pomimo nienawiści, nie mogłam cię nienawidzić! To, coś ty uczynił, było trudniejsze niż wszystko, co ja uczyniłam, bo to było okrutne; a gdy teraz myślę o tem wszystkim, co się stało, widzę — że to ty, ty, mój ojcze, zniósłeś próbę najcięższą i najgodniejszą.

MERLIN. Nie, najgodniejszą nie była żadna z tych, które ty mogłaś widzieć. Będzie ona tajemnicą tego serca, które cię kocha i które w sobie łączy was, a które od was obojga moje dzieci, żąda abyście dla zmiany tej głębokiej tajemnicy w szczęście—dali mu chwilę swej ra-

dości i może pocałunek nieco dłuższy od tych, jakie się daje zazwyczaj po drodze starcom odchodzącym...

LANCEOR (*rzucając mu się w ramiona*).
Ojczy mój!

JOYZELLA (*również*). I mój także!

ARYELLA (*starając się wnieść do gro-
na osób, złączonych uściskiem*). Nikt mię
nie widzi, nikt nie pamięta, aby mi też dać
dział miłości, wyrwanej mojami niewi-
dzialnymi rękami ze skąpych rąk czasu...

MERLIN (*uśmiechnięty*). Widzę cię,
Aryello; ty nas kochasz wszystko troje;
ale ku Joyzelli wydiera się pocałunek
gorętszy od tych, jakie my jej dać może-
my... Możesz ją ucałować; próba skoń-
czona również i w mojem starem sercu.
Jeszcze chwila, a będziemy daleko od
niej i daleko od wszystkiej miłości...

(*Aryella długo całuje Joyzellę*).

JOYZELLA. Co mówisz, mój ojczy —
i z kim mówisz?... Zdaje się, że kwia-
ty jakieś, których zerwać nie mogę, mu-
snęły moje czoło i pieczęją me usta.

MERLIN. Nie odpychaj tych kwiatów.
One są smutne i czyste. Moja biedna
Aryella rozsypuje je koło ciebie; to moja

córka niewidzialna, dobra wróżka tej wyspy, istota, która was odkryła i czuwała nad wami., Chciała ona — poraz ostatni—wmieszać się do waszej wielkiej miłości—i prosi o część, tak dyskretną jak ona, tego szczęścia, jakie się jej należy.

JOYZELLA. Gdzież ona jest? Widzę przy sobie tylko ciebie i Lanceora.

MERLIN. A czy sądzisz, moja córko, że widzimy wszystko co żyje w naszym świecie głębokim? Bądź więc życzliwa i daj dla biednej Aryelli. Daje ci ona z pocałunek pożegnania, zanim odejdzie, by wraz ze mną zniknąć tam, gdzie los pragnie, aby się zamknęło moje przeznaczenie.

LANCEOR. Aby zniknąć wraz z tobą?... Ojczy mój, ja nie wiem...

MERLIN. Nie pytajmy tych, którzy nie mają już nic do powiedzenia... Teraz wszystko się ustanawia. Dzięki nieznanym bogom, zgotowałem szczęście dwóm sercom, które mi były najdroższe; ale nie mogę nic więcej; — i wy nie możecie nic dla mego szczęścia. Idę ku swemu przeznaczeniu, idę milcząc, aby nie zasmucić tej uśmiechniętej godziny, która do was

należy... Wiem, co mię czeka, a jednak idę...

JOYZELLA. Nie, nie, nie! Mój ojczcie, ty nie odejdiesz! Jesteśmy przy tobie, a jeżeli jakie niebezpieczeństwo, którego widzieć nie możemy — grozi twej starości, postaramy się przynajmniej osłabić jego grozę. Gdy troje ludzi się kocha — nieszczęście, które zawisło nad jednym z nich, zmienia się w ciężar miłości, dźwigany wesoło...

MERLIN. Niestety, moja Joyzello, wszystko to byłoby bezużyteczne... Obyż chcieli bogowie zsyłać na ludzi tylko klęski dobroczyenne, jak były wasze! Ale nie wszystkie wole tajemne są tak jasne i tak dobre... Napróżno jednak mówimy o tem, co zapisane... Jestem tu jeszcze z wami, w ramionach tych co mnie kochają... Dzień mojej niedoli to jeszcze nie dzień dzisiejszy... Radujmy się tą godziną w słodkim smutku, jaki następuje po wielkich radościach—i uważajmy jak zwolna a zwolna upływają minuty miłości w tym bladym promieniu światła nocnego, w którym uściski nasze jeszcze więcej nas uszczęśliwiają... Reszta nie należy jeszcze do ludzi...



Ceny podane w kopiejkach — 10 kop. = 26 hal.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

- | | <i>Kop.</i> |
|---|-------------|
| 1. Oszczędność — droga do dobrobytu. Wydanie II. | —10 |
| 2. John Ruskin i jego poglądy, opracowała M. Bujno. | —10 |
| 3. Trylogja historyczna H. Sienkiewicza. Szkic krytyczny przez St. Kozłowskię. | —20 |
| 4. Co powinniśmy wiedzieć o Adamie Mickiewiczu. | —10 |
| 5. Moje leczenie wodą, streszczenie dzieła ks. Kneippa.
I. Zabiegi wodolecznicze. | —10 |
| 6. — — II. Apteczka domowa. | —10 |
| 7. — — III. Jak leczyć choroby. | —10 |
| 8. Sen, bezsenność i środki nasenne, p. D-ra Kühnera. | —10 |
| 9. Pieniądze, ich powstanie, rozwój i stan dzisiejszy. | —10 |
| 10. Pierwsze zasady muzyki, podł. Hellera, n. prof. G. Roguski. | —20 |
| 11. Ignacy Krasicki i jego dzieła, przez F. Łagowskiego. | —15 |
| 12. Monety wszystkich państw i ich wartość w rublach. | —10 |
| 13. O zdrowiu i jego pielęgnowaniu. | —10 |
| 14. Jak pielęgnować dzieci zdrowe i jak leczyć chore, streszczenie podł. ks. Kneippa. | —10 |
| 15. Obliczanie procentu; ułożył Z. Kamiński. | —10 |
| 16. Z życia zwierząt: Zwierzęta ssące, podł. Brehma. | —10 |
| 17. Jak zachować zdrowie, urodę i młodość, p. E. Füllly. | —10 |
| 18. Słowniczek wyrazów używanych w muzyce. | —20 |
| 19. Słońce, podł. K. Martina, opracował S. Bouffall. | —15 |
| 20. Krótka anatomja ciała ludzkiego. Wyd. II (z 34 rys.). | —20 |
| 21. Gimnastyka domowa bez nauczyciela i przyrządów dla zdrowych i chorych, objaśniona 50 fig. | —20 |
| 22. O komedjach Aleksandra hr. Fredry (ojca), przez Florjana Łagowskiego. | —20 |
| 23. Pasożyty ludzkie wewnętrzne i zewnętrzne, opisał Dr. St. Gałęcki, (z 26 rysunkami). | —10 |
| 24. Przepisy właściwego zachowania się w towarzystwie. | —20 |
| 25. Jak powinien zachować się chory na żołądek, napisał Dr. Wł. Sterling. | —15 |
| 26. Grzyby jadalne i trujące, z 32 tablicami kolorowemi, podł. H. Blüchera, napisała M. Arctówna. | —50 |
| 27. Oświetlenie współczesne, napisał Wł. Umiński (z 20 rys.). | —10 |
| 28. Wojna o cześć kobiety, ze «Szkiców historycznych» Karola Szajnochy. | —10 |
| 29. Nad wodą wielką i czystą. Z życia poetów nad Le-manem, przez Fedynanda Hösicka. | —20 |
| 30. O samokształceniu, podł. Pawła Hoche, napisał Antoni Krasnowolski. | —20 |
| 31. O głosie i jego kształceniu, przez ks. K. Stoneckiego. | —10 |
| 32. Nauka gry w szachy, opracował Zb. Kamiński. | —20 |
| 33. Jędrzej Sniadecki, życie i dzieła, nap. St. Brzozowski. | —20 |
| 34. Jan Kochanowski; życie i dzieła, napisał Fl. Łagowski. | —15 |
| 35. Fryderyk Chopin; jego życie i dzieła, napisał Al-Ar. | —10 |
| 36. Podział pracy w naturze i w życiu człowieka, podł. E. Haëckela. | —10 |

37. Nauka szybkiego rachunku. Wyd. II, ułożył Z. Kamiński.—10
38. Początki walki Słowiańsko-niemieckiej, napisał J. K. Kochanowski. —20
39. Dola i niedola Jana Sobieskiego, streścił M. Offmański —25
40. Zwierzęta współbiednicze, napisał B. Dyakowski. —15
41. Hodowla ptaków śpiewających, napisał K. Kalinowski. —15
42. Marja Konopnicka. Szkic krytyczny, nap. St. Kozłowski.—20
43. Pogląd na rozwój dziejowy, przez H. Witkowską. —15
44. Ruch i ćwiczenia cielesne, przez D-ra R. Skowrońskiego.—10
45. Kazimierz Brodziński; życie i dzieła, nap. F. Łagowski.—10
46. O ideale doskonałości, odczyt Bolesława Prusa. —10
47. Woda pod względem fizycznym i chemicznym, napisał S. Bouffałł, (z rysunkami). —10
48. Miary i wagi wszystkich krajów na kuli ziemskiej. —10
49. Zasady estetyki, skreślił Michał Mutermilch, (z rysunkami) —20
50. Prawidła pisowni polskiej ułożone według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie, (Wyd. drugie).—10
51. Jak jest za oceanem, przez W. M. Kozłowskiego. —15
52. Stanisław Moniuszko, jego życie i dzieła, nap. Al. Ar. —10
53. Ekonomia polityczna czem jest i czego uczy, napisał D-r J. B. Marchlewski —15
54. Gieda, jej istota, cel i ustrój, napisał St. A. Kempner. —10
55. Cierpienia nerwowe, napisał Dr. W. Sterling. —15
56. Znużenie, odczyt D-ra Stanisława Kopczyńskiego. —10
57. Nauka o ludności, napisała Dr. Zofja Golińska. —10
58. Józef Kremer jako pisarz, filozof i estetyk, szkic krytyczny, napisał Stanisław Brzozowski. —15
59. O heraldyce czyli o znajomości herbownictwa, napisał J. K. Kochanowski (z 31 rysunkami). —20
60. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. I. Literatura polska do w. XVI, napisał F. Łagowski. —10
61. Hipolit Taine i jego poglądy na filozofję, psychologję i historję, napisał Stanisław Brzozowski. —20
62. Hipolit Taine jako estetyk i krytyk, nap. S. Brzozowski —15
63. O powietrzu, napisał S. Bouffałł. —10
64. Najdawniejsze wynalazki, skreślił Wł. Umiński (z 20 rys.) —10
65. Organizm jako społeczeństwo komórek, p. K. Kulwiecia.—10
66. Idea w sztuce, skreślił Michał Mutermilch. —10
67. Aleksander Świętochowski, skreślił Henryk Galle. —15
68. Wychowanie dziecka do lat 6-ciu, p. H. Wernica. —20
69. Fizyczne wychowanie dzieci podług Jędrzeja Śniadeckiego i in., napisała Antonina Kolberg-Brzozowska.—10
70. Alkoholizm i społeczeństwo, napis. Dr. Zofja Golińska.—15
71. Co jest filozofja i co o niej wiedzieć należy, napisał S. Brzozowski. Część I—do Kanta. —20
72. Zboczenia mowy: Niemota, bełkotanie, mowa nosowa, przez D-ra Wł. Ołtuszewskiego, z rysunkami —10
73. Ryszard Wagner i jego dramaty, według C. Mendèsa, streścił A. Lange. —20

107. Gwiazdy, ich cechy, przyroda i ruchy, przełożył S. B.—15
108. Humor staropolski w poezji XVI i XVII w., wybrał A. R.—15
109. Co każdy człowiek o hygiene wiedzieć powinien.
I. Mieszkanie i odzież, napisała B. Marchlewska. —15
110. Dziecko nerwowe, opracował Dr Władysław Sterling.—20
111. Adam Asnyk, przez Henryka Galle. —20
112. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. III. Pierwsza połowa w. XVII, napisał Fl. Łagowski. —15
113. Krótki rys fizyki. I. O ruchu.—O siłach.—O energii, napisał Stanisław Bouffał (z 11 rysunkami). —15
114. Grunwald, monografia historyczna, nap. M. Offmański.—20
115. Zarys historii literatury niemieckiej. Część I. Od czasów najdawniejszych do Klopstocka, nap. W. Osterloff.—15
116. Ubezpieczenia życiowe, napisał B. Danielewicz. —15
117. Eliza Orzeszkowa. Szkic przez Jana Nitowskiego. —15
118. Stanisław Wyspiański jako poeta, szkic krytyczny, napisał St. Brzozowski. —20
119. Człowiek gienjalny, napisał H. Türk, spolszczył J. Muklanowicz. —10
120. Jak się orjentować na niebie? Krótki zarys topografii nieba i główniejszych gwiazdozbiorów, napisał Paweł Trzciański, z rysunkami w tekście i mapą nieba.—20
121. Kłamstwo. Traktat pedagogiczny dla użytku rodziców i nauczycieli, spolszczył Józef Muklanowicz. —10
122. Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna, napisała I. Moszczeńska. —15
123. Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskim, opracował A. Krasnowolski.—20
124. Jak badać umysł dziecka? (O zadaniach i metodach psychologii dziecka). Wyd. II, nap. A. Szycówna. —20
125. Społeczeństwo i historia, podł. Tarde'a, skreś. A. Lange.—15
126. Mięso czy pokarmy roślinne? wskazówki djetetycznego odżywiania się, nap. dr. J. Drzewiecki. Wyd. II.—10
127. Z naszych stosunków ekonomicznych. Kapitały obce w przemyśle polskim. Cła. Artele, nap. Z. Pietkiewicz.—20
128. Krótki rys fizyki. II. O cieczach.—O sprężystości,—O głosie, napisał S. Bouffał (z 16 rys. w tekście). —15
129. Zarys historii literatury niemieckiej. Część II. Od Klopstocka do Göthego, napisał W. Osterloff. —10
130. Iljada Homera, streścił i opracował A. Lange. —25
131. O prędkości światła, podług Dra A. Bernsteina, napisał St. Bouffał (z rysunkami). —10
132. Starożytna Grecja, napisała S. Sempołowska —20
133. Jak rozmawiać z dziećmi o kwestjach drażliwych, napisała I. Moszczeńska. —10
134. Złe i dobre wychowanie w przykładach, podł. oryginału niemieckiego, nap. I. Moszczeńska. —20
135. Odezwa do młodzieży męskiej, p. D-ra A. Herzena. —10

74. Wierzenia dzikich ludów, według A. Lang'a - 15
75. Nauczycielstwo i pedagogja, przez J. Wabnera. - 20
76. Wpływ umysłu na ciało. Odczyt D-ra Dubois. - 10
77. Julian Klaczko. Sylwetka literacka p. F. Hörsicka. - 10
78. Co jest filozofja i co o niej wiedzieć należy, napisał S. Brzozowski. Część II — od Kanta. - 15
79. Wychowanie dzisiejsze, podług M. Egidy. - 10
80. Z życia zwierząt: Ptaki, według Brehma, przeł. M. A. - 15
81. Polacy w Ameryce. Zarys obecnego stanu wychodźstwa polskiego, napisał S. Barszczewski. - 15
82. Narcyza Zmichowska, jej życie i dzieła, n. M. Bujno. - 20
83. Jak żyć aby być zdrowym, p. D-ra L. Wolberga. - 10
84. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. II. Wiek XVI, napisał Fl. Łagowski. - 20
85. O widzeniu. O symetrii. Odczyty popularno-naukowe, prof. D-ra E. Macha (z rysunkami). - 10
86. O zaćmieniach słońca i księżyca, n. G. Tołwiński (z rys). - 10
87. O siłach chemicznych, jako wstęp do chemji, podług D-ra A. Bernsteina, napisał W. U. - 15
88. Król Kazimierz Wielki, przez Lucjana Tatomira. - 25
89. Mikołaj Wierzynek, przez L. Tatomira. - 10
90. Józef Korzeniowski, jego życie i dzieła, nap. H. Galle. - 20
91. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem. Studium etnograficzno-społeczne, napisał Wł. Smoleński. - 20
92. Kobieta czasów obecnych, napisała W. Marrené - 15
93. Rządy pruskie na ziemiach polskich 1793—1807, napisał Wł. Smoleński. - 15
94. Ziemia pod względem geologicznym, opracowała K. Skrzyńska (z 40 rysunkami w tekście). - 20
95. O kalendarzu i jego znaczeniu, nap. G. Tołwiński - 15
96. O pięknie w muzyce, podług D-ra E. Hanslicka - 30
97. Zasady mechaniki, jako wstęp do fizyki, opracował S. Bouffał (z 36 figurami). - 30
98. Fizjologia człowieka, napisał Dr. Wł. Sterling (z 33 rys.) - 25
99. Józefa Kremera poglądy na sztukę i jej historję, napisał Stanisław Brzozowski. - 15
100. Nad jeziora włoskim brzegiem. Lago di Como i wspomnienia z życia Kraszińskiego, p. Ferd. Hörsicka. - 15
101. Wykład popularny o suchotach płucnych. Skreślił Dr. Stanisław Gałeczki - 30
102. Działalność kobiet czeskich i ich udział w odrodzeniu Czech, napisała Antoszka. - 20
103. Dla rodziców, rady i wskazówki przy wychowaniu dzieci, napisała I. Moszczeńska. - 10
104. Suchoty płuc i jak skutecznie z nimi walczyć można. Odczyt D-ra T. Dunina - 10
105. Pielęgnowanie dziecka w pierwszym roku życia, p. dra med. Marję Vögtlin, spolszczył dr Z. Szymanowski. - 20
106. Reformy w wychowaniu moralnem, p. I. Moszczeńską. - 10

136. Słowniczek frazeologiczny. Poradnik dla piszących, przez Antoniego Krasnowolskiego. Str. 288. — 60
137. Sen i senne marzenia, napisał Dr. Fr. Scholtz. — 20
138. Dzieje początków cywilizacji powszechnej, przez Fr. Streisslera. przełożył Zb. Kamiński. — 50
139. Psychologia uwagi, napisał Th. Ribot. — 30
140. Powietrze i słońce, jako środki lecznicze. — 15
141. Czechy i naród czeski. Część I. Opis Czech, napisała Antoszka. — 15
142. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. IV. Druga połowa XVII w., napisał Fl. Łagowski. — 15
143. Ekstaza, przez D-ra T. Achelisa, streścił z oryginału niemieckiego J. Muklanowicz. — 20
144. Wychowanie wychowawcy (Książka Mrówcza). przez Salzmanna, tłómaczyła Z. Sennewald. — 25
145. O obrocie ziemi dokoła osi, podł. D-ra A. Bernsteina, przełożył S. B. — 15
146. Hygiena wieku dziecięcego, podł. Dr. I. Trump, napisał Dr. Sterling. — 20
147. O Serbji i Serbach, napisał A. Miecznik. — 20
148. O poematach M. Konopnickiej. Prometeusz i Syzyf. Pan Balcer w Brazylii, napisał H. Galle. — 10
149. Zwierzęta pod względem budowy ciała, napisał F. Urbanowicz (z 54 rysunkami w tekście). — 25
150. Ziemia i jej stanowisko we wszechświecie, podług Neumayera, napisał St. B. — 20
151. Co i jak robią rzemieślnicy. Opracowali H. Wernic i Fr. Skwara. I. Rzemiosła obrabiające skórę. — 15
152. — — II. len, wełnę, konopie.
153. Pseudonimy i kryptonimy pisarzy polskich, zebrała I. Z. — 25
154. Odyseja Homera, streścił A. Lange. — 25
155. Maeterlinck. Joyezella. Sztuka. — 20
156. Verga. Rycerskość wieśniacza. Dramat. — 10
157. Sofokles. Antygona. Tragedja w przekładzie K. Morawskiego. — 15
158. Brioux. Wykolejeni. (Les Avariés). Sztuka.
159. Brioux. Kochanka. Sztuka.
160. Felicjan. Franczeska z Rawenny. Sztuka. — 10
161. Zasady etyki, nap. H. Höffding, przeł. Dr Z. Daszyńska. — 20
162. Znaczenie studyów nad dziećmi napis. G. Stanley Hall, przekład K. Króla. (Wyd. II.) — 20
163. Zarys historii literatury niemieckiej. Część III. Göthe— Schiller. Napisał W. Osterloff. — 15
164. O żywieniu niemowląt, napisał Dr. Bączkiewicz. — 20
165. Krótki rys fizyki. III. Nauka o cieple, nap. S. Bouffant. — 15
166. Wulkany, przez K. Martin. Trzęsienia ziemi, przez Dr. Meuniera, streścił S. B. (z 5-ciu rysunkami). — 15
167. Cyd. Poemat średniowieczny hiszpański, opr. K. Król. — 25

168. Zkąd się wziął twój braciszek? Z dziełka Ellis Ethelmer, spolszczyła R. Centnerszwerowa.
169. Jan Sniadecki, życie i dzieła, nap. St. Brzozowski.
170. M. Arcta Słowniczek wyrażeń i przysłów cudzoziemskich
171. Przyczynek do życiorysu Adama Asnyka, napisał M. Offmański.
172. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. V. Wiek XVIII i XIX do Mickiewicza, napisał Fl. Łagowski
173. Zarys historii literatury niemieckiej. Część IV. Szkoła romantyczna.—Młode Niemcy. Napisał W. Osterloff.
174. Zwyródnienie w świetle nauki współczesnej, napisał Dr M. Bernstein.
175. Krótki rys fizyki. IV. O świetle, napisał S. Bouffałł.
176. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, napisał Dr. K. Łazarowicz (z 50 rysunkami).
177. Macedonja i Macedończycy, napisał A. Miecznik.
178. Japońja i Japończycy, podług Lauterera i innych, napisał A. Strzelecki.
179. O kotłach parowych oraz o ich obsłudze, napisał Fr. Skwara.
180. Z dziejów ruchu kobiecego, napisała J. Dohm, streściła M. Glotzówna.
181. Życie artystyczne ludzkości, podług A. Le Roux, streściła W. Zaremba (z 28 rysunkami).
182. Björnstjerne - Björnson. Rękawiczka. Sztuka.
183. Historia literatury słoweńskiej, podług A. Pypina, napisał Dobek.
184. Krótka stylistyka. Cz. I, napisał H. Galle.
185. Nauka harmonji w streszczeniu z przykładami, napisał M. Zawirski.
186. Zasady psychologii, przez St. Brzozowskiego.
187. Co i jak robią rzemieślnicy. III. Zegarmistrzostwo, napisał Fr. Skwara.
188. Kalidasa. Sakuntala. Sztuka, przełożył podług tłum. niem. A. Strzelecki.
189. Hauptman G. Święto pokoju, opr. A. Strzelecki.
190. Björnstjerne - Björnson. Ponad siły.
191. Atlasik botaniczny kieszonkowy.
192. Nowiński J. Biała gołąbka. Poemat dramatyczny w 5 aktach. Wydanie II.
193. Wyrazy obce w «Sonetach Krymskich» Mickiewicza, opracował etymologicznie L. Radliński.
194. Teorja prozy i poezji w zarysie, skreślił H. Galle.
195. Nani G. E. Burza w ciemności. Dramat, przełożył A. Strzelecki.
196. Pielęgnowanie chorych w domu, podł. D-ra A. Stoeckera, opracował D-r K. Łazarowicz (z 14 rysunk).
197. Esperanto. Język międzynarodowy. Część I. Gramatyka i ćwiczenia, ułożył Dr. L. Zamenhof.

B. DYAKOWSKI

Z NASZEJ PRZYRODY

OBRAZY Z ŻYCIA ZWIERZĄT
I ROŚLIN KRAJOWYCH

Dzieło zawierające 544 str., 24 tablice chromolitografowane
oraz 224 wizerunków w tekście.

Niniejsza książka ma na celu takie zapoznanie z naszą przyrodą ożywioną, któreby umożliwiło odczucie jej i zrozumienie, i zachęciło do robienia samemu poszukiwań. Podane są w niej opisy ważniejszych i pospolitszych roślin, oraz zwierząt krajowych, według ich miejsca pobytu i pór roku, tak aby mieć całokształt życia w polu, łąki, stawu—od zbudzenia się ze spoczynku nowego na wiosnę, do stopniowego zamierania w jesieni.

Autor wprowadził do opisów przyrody: poezje, przysłowia i podania ludowe, w nich bowiem znajduje odzwierciedlenie wzajemna zależność człowieka od przyrody.

Książka ta jest tak ułożona, aby mogła stać się dopełnieniem nauki systematycznej, a jednocześnie, aby mogła służyć za przewodniczkę przy przechadzkach po polu, łące lub lesie.

Dzieło to obleczone w szatę ponętą rycin i tablic kolorowych, powinno znaleźć się w każdym domu, lubiącym się w przyrodzie, a szczególnie w rękach młodzieży, budząc w nich zamiłowanie i chęć poznania otaczającej nas przyrody.

Brosz. rb. 4.20, w oprawie rb. 5.

Prospekt na żądanie bezpłatnie.

Nowa prenumerata

33 zeszyty po 20 kop.

KSIEGA WIADOMOŚCI POŻYTECZNYCH

1.100 stronice tekstu, objaśnionych
2.500 rysunkami

Aeronautyka — Anatomja — Architektura — Astronomia — Botanika — Chemja — Elektrotechnika — Fizyka — Fizjologia — Geologia — Geografja fizyczna — Hygiena — Kosmografja — Matematyka — Mechanika — Medycyna — Meteorologia — Mineralogja — Ogrodnictwo — Przemysł — Rolnictwo — Sport — Technologja — Wojskowość — Zoologja — Żeglarstwo.

Przeznaczeniem tej Księgi jest podanie czytelnikowi informacji szybkich, zwięzłych, a zrozumiałych i jasnych, przypomnienie rzeczy niegdyś mu znanych lub upewnienie go, że wiadomości, jakie posiada w danym przedmiocie, są zgodne z dzisiejszym stanem nauki.

Liczne i wyraźne rysunki objaśniają tekst.

Chlubne uznanie, jakie Księga wiadomości pożytecznych zdobyła sobie na ostatnim Zjeździe Przyrodniczym w Krakowie, jest dowodem jej wartości i praktyczności.

Księga ta jest niezbędną w każdym domu, jest przyjacielem i doradcą, informującym w każdej kwestji, dotyczącej nauki.

Cena za całość rb. 6,

w opr. w płót. ang. rb. 7 — w półskórek rb. 7.50

Prospekt na żądanie bezpłatnie